ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 4(41) • Kwiecień 2009 • Cena 2,00 zł

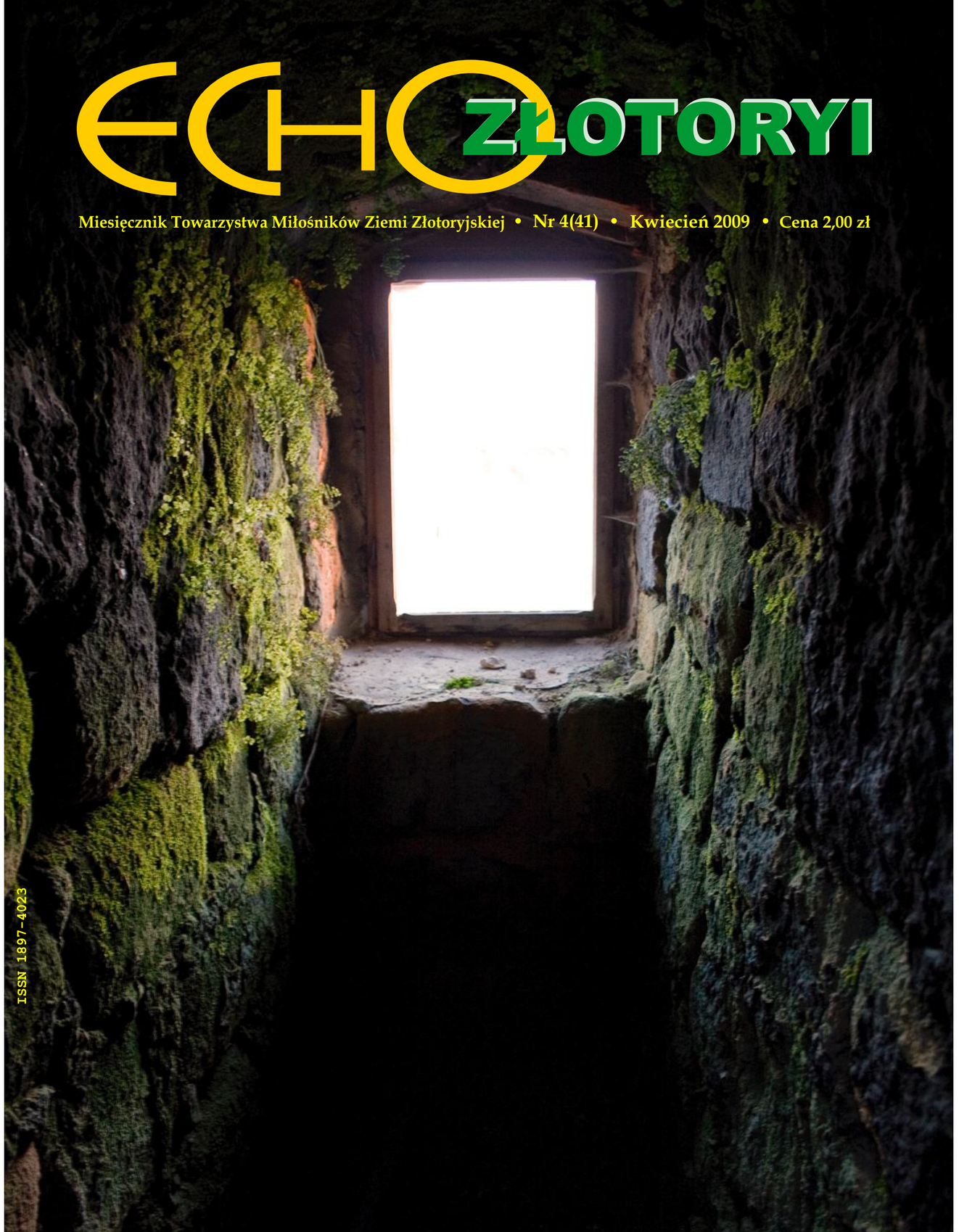

ISSN 1897-4023

Opowieść o szczęśliwym człowieku

Jestem człowiekiem szczęśliwym – w czasie naszych spotkań, to stwierdzenie pada wiele razy z ust Ryśka Handzieja i nie jest to wcale zaklinanie rzeczywistości, lecz stwierdzenie pewnego stanu ducha. Siedzimy sobie w gabinecie właściciela firmy budowlanej, prezesa klubu sportowego Górnik, byłego wieloletniego piłkarza, który nawet zaliczył epizod w reprezentacji kraju juniorów. Jemy smaczne ciasto, bo to właśnie imieniny naszego bohatera, a rozmowa wije się wśród różnorodnych tematów, ciągle jednak powraca do źródeł, czyli piłki nożnej. W odróżnieniu od innych pasjonatów tej dyscypliny sportu, mój rozmówca nie tylko zapoznał się z teorią, ale we własnych nogach ma setki kilometrów przebieganych po murawach w Polsce i w Niemczech.

Sportowiec

Wszystkiemu winne są geny. Ojciec był bardzo dobrym piłkarzem, grywał w Sokołowcu, więc i jego dwaj synowie także musieli zająć się piłką. Był czas, gdy dwaj bracia Handziejowie rządzili i dzielili na boiskach A-klasy w regionie, a trzeba zaznaczyć, że wówczas poziom gry w takiej A-klasie porównywalny był z poziomem ligi okręgowej obecnie. Tato chodził na wszystkie mecze i był dumny ze swoich synów. *Po latach, przy każdej rodzinnej okazji graliśmy na małe bramki po dwie, trzy osoby. To był obowiązkowy punkt takiego spotkania. I tak grał mój syn, taki mały karakanik, mój brat i mój tato.*

Zaczął grać w piłkę w Proboszczowie, z Proboszczowa trafił do kadry Polski U-14 i grał m.in. z byłą republiką radziecką: *Nie miałem warunków fizycznych: ani szybkości, ani wzrostu, ale miałem duże serce do piłki. Wszystko co osiągnąłem w piłce, a nie osiągnąłem tyle, ile marzyłem będąc dzieckiem, ale też ni mało - zawdzięczam ciężkiej pracy. Piłka nauczyła mnie przede wszystkim konsekwencji w działaniu, ciężkiej pracy. Do życia przygotowała mnie o tyle, że wyrobiła we mnie odporność i charakter na dalszą drogę.*

Gdy kończył się trening zostawał na boisku i trenował technikę, przyjęcie piłki, podanie, strzały na bramkę. Innym wystarczyła godzina biegania po boisku, jemu było mało i pięciu. Gdy nie było kolegów, odbijał, ku utrapieniu sąsiadów, piłkę o ścianę. Później, gdy grał w Miedzi Legnica, trenerzy i koledzy byli pod wrażeniem, że trenując na wsi, miał tak dobrą technikę użytkową.

Na moim przykładzie, na przykładzie mojego rodzeństwa oraz ludzi których znam, mogę stwierdzić, że każdy sport przy odpowiednim szkoleniowcu nie uczy niczego złego. Kiedy trener wpaja ducha walki sportowej, to sport jest jedną z najważniejszych dziedzin dla każdego młodego człowieka. Znam ludzi, którzy nie osiągnęli niczego wielkiego w sporcie, ale dzięki jego uprawianiu, lepiej sobie radzą w życiu, zwłaszcza w trudnych sytuacjach. Bo w życiu trzeba walczyć - tak jak na boisku.

Trudno jest się z tym nie zgodzić, jednak wielu sportowców, posiadających wielki talent, zmarnowała go, zeszła na manowce życia. Więc gdzie jest reguła? Dlaczego jedni osiągają sukces inni staczają się?

Miałem takich kolegów, którym wszystko przychodziło za łatwo. My zostawaliśmy po treningu, żeby jeszcze pobiegać, a oni szli na dancing. W szatni przed meczem, jeszcze było czuć od niego alkohol, ale on i tak dwa razy lepiej grał ode mnie.

Przykłady można mnożyć. Rysiek opowiada o koledze, który pojechał na testy do Widzewa Łódź, gdy klub ten był u szczyty swojego powodzenia. Młody piłkarz z Proboszczowa zrobił na trenerach wielkie wrażenie. Ci widząc skromnie ubranego chłopaka, z tekturową walizką przewiązaną paskiem, dali mu pieniądze na zagospodarowanie – więcej już nie pojawił się na treningu – poszedł i przepadł

Niektórzy ludzie mieli dar boży do uprawiania danej dyscypliny, wszystko im przychodziło bardzo łatwo, ale nie rozumieli lub nie kochali tego co robią. Ci często schodzili na manowce.

Jeszcze przed upadkiem komunizmu, mając dwadzieścia parę lat pojechał pierwszy raz do Niemiec - na testy. Doznał szoku kulturowego. *U nas nie było nic – dosłownie nic – słonina paprykowa wisiała w sklepach, a tam poczynając od pięknie wykafelkowanej łazienki po pełną lodówkę, której nie potrafiłem otworzyć.*

W Niemczech z piłki miał pieniądze, dla Niemców nie były to duże kwoty, ale dla Polaka, który tam zarabiał, a wydawał w Polsce, sumy wręcz astronomiczne. To był jedyny moment, kiedy zarabiał na piłce. Gdyby komuna się nie kończyła, być może zostałby tam jako azylant. *Patrząc z perspektywy czasu dobrze się stało, że wróciłem. Pomimo tego, że zawsze byłem lubianą osobą, to niejednokrotnie dano mi odczuć, że byłem kimś gorszym. Nawet nie obcym, ale gorszym.*

Miał dobrze płatną pracę w firmie budowlanej, przy której zdobywał doświadczenie w stosowaniu nowych technologiach, niedostępnych wtedy w kraju. Ale gdy w 1993 roku urodził się syn Maciek, postanowił definitywnie skończyć z życiem na walizkach w obcym kraju i wrócił do Polski.

Biznesmen

W domu nie przelewało się. Może dlatego potrafi cieszyć się z najdrobniejszych rzeczy. Jednocześnie nie był i nie jest pochłonięty bez reszty pogonią za pieniędzmi.

My przeżyliśmy już czasy, gdy niczego nie było na półkach, a potem weszliśmy w świat gdzie wszystko jest. Natomiast nasze dzieci, żyją już w całkiem innej rzeczywistości. Gdy tłumaczę swoim dzieciom, że ja banana jadłem pierwszy raz, gdy miałem piętnaście lat i to takiego, że gdy go siostra przywiozła z go Bułgarii, to był cały czarny – nie potrafią tego zrozumieć.

Mimo poświęcenia się bezgranicznie piłce, z nauką nie miał kłopotów. Po ukończeniu Technikum Budowlanego w Legnicy pracował w Złotoryjskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, dopóki nie poległo na budowach wolnej gospodarki. *Gdy rozpadło się ZPB, jeździłem z butami, handlowałem kiełbaskami przy autostradzie, bananami na naszym Manhattanie. Były takie czasy, że człowiek łapał się wszystkiego.* Stąd, gdy pojawiła się tylko szansa wyjazdu do Niemiec, do legalnej pracy, natychmiast z niej skorzystał. Zdobyte za granicą doświadczenie, wykorzystał po powrocie, najpierw zajmował się drobnymi pracami budowlanymi na własny rachunek. *W Polsce płytki kładziono wówczas na cemencie, natomiast ja już wiedziałem, że jest klej, że są grzebienie, że jest maszynka do płytek.* W 1994 roku utworzył firmę Karmak i zatrudnił ludzi. Nazwa Karmak to kwintesencja wyznawanych przez niego wartości rodzinnych. Imiona dzieci: Karolina i Maciek, u którego z angielska „c" zamienił na „k".

Do 1996 roku wszystko szło znakomicie. Miał pracę, były pieniądze. Później przyszedł przestój w budownictwie i doszło do tego, że jeden komornik wychodził a przychodził drugi. *Było i tak, że gdyby nie pomoc mojej rodziny, to nie miałbym na chleb czy mleko. Ja tego nie ukrywam. Nie jest sztuką mówić tylko o swoich sukcesach, ale sztuką jest przyznać się do tego, że było też bardzo ciężko.*

Przeżył już dwa kryzysy gospodarcze, gdy nie było co robić. *Wykonywało się drobne prace: 10 metrów ogrodzenia, jakieś płytki... To co się zarabiało ledwo starczało, albo i nie, na ZUS i jakąś słabą wypłatę dla pracowników. Nie było mowy o inwestycjach o jakimkolwiek rozwoju. Najgorsze dla firmy jest, gdy firma stoi w miejscu lub się cofa.*

Dlatego ze spokojem przyjmuje to, co teraz się dzieje. Wprawdzie zdarza się, że ten czy ów inwestor, tłumacząc się kryzysem, chce wymóc na nim korektę kosztorysu, ale w biznesie, gdzie największy udział stanowią koszty zatrudnienia, mogłoby się to odbyć tylko poprzez zmniejszenie płac pracowniczych, a na to nie pozwoli. *Byłoby to nieuczciwe w stosunku do moich pracowników. W tych bojach jestem na tyle zaprawiony, przeżyłem już dwa kryzysy, przeżyję i ten, i następne. Niestety żyjemy w takim kraju, gdzie uczciwa i ciężka praca nie gwarantuje, że nie wpadnie się w kłopoty finansowe z nie swojej winy.*

Firma Karmak jest firmą rodzinną, oprócz właściciela, pracuje w niej siostra - Regina oraz szwagier. Swego czasu pracował tu również nieżyjący już brat Bogusław.

To co osiągnąłem dla jednych na pewno jest mało, ale dla człowieka który rozpoczynał z pomocą rodziców od zera i w tej chwili nie ma żadnych zobowiązań wobec skarbu państwa, ani obciążonej hipoteki – wydaje mi się, że jest bardzo wiele.

Szczęściem jest gdy człowiek łączy swoją pasję z pracą zawodową. Uwielbia budować, tworzyć coś nowego. *Lubię wyzwania, sprawdzać czy sobie poradzę. Kiedyś podjąłem się roboty w Darłowie, gdzie na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie ma szans, abym pracę oddał w terminie. Do dziś pamiętam, jak układałem kafelki i pomagał mi mój mały wtedy syn – przynosił mi po jednej płytce i czułem wtedy niesamowitą satysfakcję. Oczywiście udało się zakończyć pracę w terminie i byłem szczęśliwy.*

Podobnie było z budową parkingu przy złotoryjskim stadionie. Wygrał przetarg, ale nikt, łącznie z inwestorem nie wierzył, że mu się uda - nie tylko oddać obiekt w terminie, ale także, że nie będzie zastrzeżeń co do jego jakości. Pamięta dokładnie, gdy kilka dni przed odbiorem robót, gdy wszystko było skończone, przez Złotoryję przetoczyła się burza i ulewny deszcz – lepszego sprawdzianu dla jakości swojej pracy nie mógł oczekiwać. Z okien firmy, znajdującej się vis a vis parkingu obserwował nawałnicę. Widział też, jak przyjechały władze miasta i spod parasoli oceniają efekt jego pracy – przede wszystkim jak działa odwodnienie. Egzamin został zdany celująco, co potwierdził sam burmistrz, składając gratulację. Czy można oczekiwać czegoś więcej? Ostatnio kończył się okres gwarancji na prace związane z budową parkingu, co wiąże się z dokładnym przeglądem, czy wszystko działa jak należy, czy nic nie „siadło". Według opinii przedstawionej przez audytorów, jest to nieliczna tego typu budowa, gdzie nie zanotowano żadnych usterek wynikających z niewłaściwego wykonania.

Mam takie szczęście, że do tej pory każda budowa, którą zrobiłem, jest dla mnie swego rodzaju pomnikiem. Drugi taki pomnik, to parking wykonany dla Spółdzielni Mieszkaniowej na osiedlu Nad Zalewem, gdzie było bardzo dużo kolizji. Parking powstał w miejscu dosyć dużej góry, w której przebiegały linie telefoniczne, woda, kanalizacja, kable energetyczne. To wszystko udało się przełożyć. Każdy, kto choć trochę zna się na budowaniu, wie ile to niesie za sobą komplikacji i jak jest czaso- i pracochłonne.

To są pomniki, które każdy mieszkaniec ma możliwość nie tyle podziwiać, co korzystać z nich.

Nie każdy potrafi umiejętnie połączyć pracę, która jest pasją z życiem rodzinnym. Dla kogoś jednak, dla kogo rodzina jest najważniejszą wartością, nie stanowi to problemu. Wprawdzie odkąd prowadzi firmę, na wczasach był trzy razy, ale stara się to rekompensować sobie i rodzinie krótkimi weekendowymi wypadami lub wycieczkami szlakiem prowadzonych budów: *Teraz już mniej, ale kiedyś w niedzielne popołudnie wybieraliśmy się z rodziną na takie wycieczki i objeżdżaliśmy wszystkie budowy, gdzie mogłem pochwalić się przed swoimi dziećmi i swoją żoną tym co robię, jakie są postępy.*

Rysiek ma jeszcze jedno szczęście. Ma następcę. Syn teraz kończy gimnazjum i chce iść do technikum budowlanego, tym bardziej, że już teraz garnie się do pomocy przy budowie ich wspólnego, wymarzonego domu.

Prezes

Wszystko nieuchronnie zmierza jednak w stronę największej z pasji, czyli piłki nożnej. Rok temu w dosyć przypadkowych okolicznościach został wybrany prezesem Złotoryjskiego Klubu Sportowego Górnik. Jedni mówią, że był kołem ratunkowym rzuconym, aby odbudować dobrą atmosferę wokół klubu, zwłaszcza jeśli chodzi o lokalne władze. W pewnym stopniu spełnił to zadanie.

Sam jednak jest bardzo krytyczny i skromny jeśli chodzi o ocenę swojej działalności w klubie, na każdym kroku podkreśla zasługi poprzedniego zarządu. Po roku prezesury czuje się wyeksploatowany i obawia się, że nie jest najlepszą osobą na tym stanowisku.

Prowadzenie klubu sportowego nie polega dzisiaj na samym jego zarządzaniu. Jeżeli mielibyśmy mówić o kierowaniu klubem w kategoriach menedżerskich, to myślę, że mógłbym spełnić oczekiwania wszystkich sympatyków i działaczy piłki. W takim klubie jak Górnik Złotoryja, gdzie przy obecnym zarządzie bardzo mało działaczy ma możliwości czy chęci robić cokolwiek, prezes musi być człowiekiem orkiestrą. Oprócz spraw papierkowych, organizacyjnych, prawnych, w których radzi sobie bez większych problemów, największą bolączką i zadaniem prezesa czy zarządu jest pozyskiwanie pieniędzy. *A ja niestety nie mam takich kontaktów, które służyłyby klubowi w sferze finansowej. Obecnie może być nawet śmieszny prezes, ale jeżeli zna potencjalnych sponsorów i przyciągnie pieniądze do klubu, będzie dobrym prezesem. W tej chwili muszę martwić się o utrzymanie płyty, ogrzanie pomieszczeń, muszę każdorazowo troszczyć się o pieniądze na wyjazdy drużyny na mecze. Zamiast troszczyć się o pozyskanie dodatkowych pieniędzy np. na zorganizowanie w czasie ferii czy wakacji obozu dla młodzieży, muszę prosić o środki na podstawową działalność.*

Funkcja prezesa jest funkcją dosyć odpowiedzialną. W dodatku nie przynosi żadnych profitów a wręcz przeciwnie, ciągle trzeba coś od siebie dołożyć.

Pieniędzy do wydania jest niewiele i praca nie polega na organizowaniu pracy klubu, czy też opracowywaniu strategii jego rozwoju, ale na szukaniu sponsorów. *Jakby nie patrzeć, klub sportowy to jest zakład pracy, ale bardzo specyficzny, ponieważ nie może zarabiać, ale musi wydawać, a te dwie rzeczy nie idą w parze. Dla mnie jest ujmą chodzenie i proszenie się o pieniądz. Oczywiście jest to moja w pewnym sensie rola, ale na klub w którym trenuje 120 zawodników powinny znaleźć się fundusze i ze skarbu państwa, i w budżecie miasta czy powiatu.*

Jak wielu działaczy społecznych tak i Prezes ma podobne dylematy, jeśli chodzi o pozyskiwanie pieniędzy. Jedni uważają, i tych chyba jest najwięcej, że chce pieniędzy dla siebie. Inni odmawiają, ponieważ nie interesuje ich piłka nożna, czy też wydają swoje pieniądze na inne dziedziny życia społecznego. *Prezesem jestem teraz, ale człowiekiem cały czas, więc rozumiem ludzi, którzy odmawiają mi pieniędzy na klub, ponieważ pomagają innym ludziom, czy finansują inną działalność społeczną. Jako człowiek wierzący, wręcz dziękuję Bogu, że są ludzie, którzy pomagają innym w potrzebie.*

Jest jednak duże grono sympatyków, którzy chociażby z 1% odpisu podatkowego podarowali w zeszłym roku dla klubu przeszło 7 tys. złotych. To jest jednak kropla w morzu. Bardzo potrzebna, ale jednak kropla. Klub, aby normalnie mógł funkcjonować potrzebuje rocznie 300 tys. złotych. W tej chwili w budżecie ujęte są w pływy w wysokości 140 tys. złotych, z czego 43 tys. pochodzi od Urzędu Miasta. Urząd Miasta pomaga też klubowi, zwalniając go z opłaty za korzystanie z obiektu, jednocześnie pieniądze z wszelkich imprez organizowanych na terenie stadionu przez miasto nie trafiają do kasy klubu. *Są Płuczki, przyjeżdża cyrk, musimy udostępnić drugą płytę, tyle co wywalczyłem, to to, że nie stają bezpośrednio na płycie boiska. Maluję wapnem ogrodzenie, bo mnie na emulsję nie stać – mury, krzaki wycinam, coś tam sprzątam. Czasem w porządkowaniu terenu pomoże nam RPK.*

W tej chwili nie ma atmosfery dla piłki. Złotoryja jest małym miastem, w którym działa bardzo dużo różnorodnych sekcji sportowych. Trudno więc pozyskać od władz miejskich więcej środków. Niestety klub przegrywa ze względu na klasyfikację mistrzowską. Relatywnie więcej punktów otrzymują sekcje, które mają sukcesy ogólnopolskie czy nawet za granicą, Górnikowi przyznaje się tylko punkty za ilość.

Nie neguję żadnej dyscypliny sportu, każda sekcja powinna dostawać pieniądze, jednak piłka nożna jest grą, której sympatyzuje największa liczba ludzi. Na mecze przychodzi wprawdzie jednorazowo niewielu kibiców - 200 – 300 osób, ale tych którzy interesują się piłką w tym mieście jest dużo, dużo więcej. Po drugie, wokół klubu skupiona jest duża grupa młodzieży, która systematycznie trenuje i przynajmniej tutaj na pewno nie nauczy się niczego złego – na pewno chłopcy nie będą bez celu szwendać się po ulicach, siedzieć przy komputerze, czy pić piwo. Gdybyśmy tu rozmawiali o kwocie miliona złotych, zrozumiałbym i nawet nie podejmowałbym dyskusji, ale rozmawiamy o kwocie 300 tys. złotych.

Oczywiście Górnik mógłby grać w niższej lidze okręgowej, gdzie występują przede wszystkim zespoły ze wsi. W tej chwili klub posiada, dzięki poprzedniemu zarządowi wszystkie kategorie wiekowe: trampkarzy młodszych, trampkarzy, juniorów młodszych, juniorów i seniorów. Bardzo dobrą pracę z młodzieżą zapoczątkował były zarząd, który wprowadził na jeden sezon do Wojewódzkiej Ligi Dolnośląskiej juniorów starszych oraz młodszych. Za swojej kadencji prezes Handziej dołożył do pierwszego zespołu - rezerwy, aby ci którzy nie grają w meczu czwartej ligi mogli zagrać w spotkaniach B-klasy. *Marzą mi się jeszcze żaczki, czyli dzieci które mają 6-9 lat. W tej chwili to wszystko ładnie funkcjonuje, a grupy wiekowe zazębiają się.*

Miasto powiatowe chyba jednak powinno stać na utrzymanie klubu z aspiracjami do czwartej ligi, a wizytówką klubu zawsze jest pierwsza drużyna.

Chciałbym aby zawodnicy mieli stypendium w wysokości 200 zł, niestety fundusze na to nie pozwalają. Jesteśmy chyba jedynym klubem w IV lidze, który w taki czy inny sposób nie płaci swoim zawodnikom. Na szczęście zawodnicy rozumieją, że klub jest bardzo biedny i zachowują się jak profesjonaliści, trenują cztery razy w tygodniu.

W Górniku opłacani są jedynie trenerzy, gospodarz obiektu, pani która sprząta oraz dyrektor.

Zawodnicy pierwszego składu otrzymują zwrot za dojazdy i to wszystko. W tym sezonie juniorom przyznano diety na mecze wyjazdowe w wysokości 10 zł, a trampkarzom i starszym trampkarzom jest fundowany skromny posiłek, aby dzieci z biedniejszych rodzin nie czuły się dyskryminowane. Polityka klubu zmierza w kierunku, aby jak najwięcej zawodników pochodziło ze Złotoryi i najbliższej okolicy. Miejscowi bardziej związani są z klubem emocjonalnie i nie liczą na gratyfikację za grę.

Kwestia pieniędzy dla Górnika prawdopodobnie zaważyła na decyzji, że prezesem przestanie być w czerwcu tego roku. *Nie chciałbym zostawić chłopców ani działaczy. Ale albo się nie nadaję, albo nie mam tyle znajomości, aby zdobywać pieniądze dla klubu.*

***

W tej chwili jako sportowiec jest już bardzo wyeksploatowany: nie prowadzi zbyt zdrowego trybu życia, dużo pali, ale z utęsknieniem czeka na każdą niedzielę, żeby sobie pograć w piłkę. I chociaż później parę godzin, czy nawet na następny dzień chodzi połamany, piłka nadal jest dla niego odskocznią od codziennych stresów związanych z prowadzeniem firmy oraz klubu. *Pewnie zauważyłeś, że jak nieraz graliśmy, to czasem gdzieś tam nie fair się zachowałem, czasem pyskowałem. Nie dlatego, że ja jestem taki chamski, ale wszystko co robię, zawsze staram się robić na maxa.*

Jak podkreśla wielokrotnie, zna swoje miejsce w szeregu, może dlatego umie czasem powiedzieć otwarcie, że nie będzie robić czegoś, co nie sprawia mu wystarczającej satysfakcji, lub inni zrobiliby lepiej. Jest człowiekiem spełnionym i choć szkoda, że prawdopodobnie od czerwca nie będzie już prezesem Klubu Sportowego Górnik, zapewne nie zostawi zupełnie na pastwę losu miejsca, z którym związał kawałek życia, najpierw jako zawodnik, teraz jako prezes. Tym bardziej, że za oknami jego firmy stadion stoi i stać będzie.

Robert Pawłowski

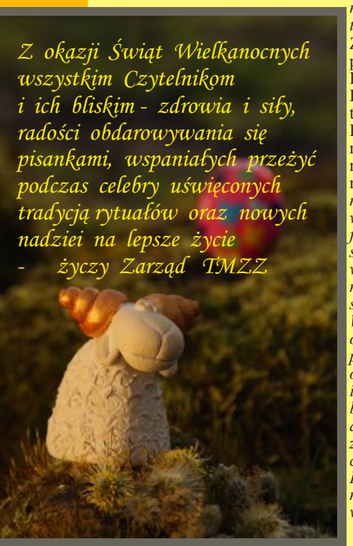

Podczas turnieju oldbojów w Niemczech - 2001 r.
Wśród stojących zawodników, dziewiąty od lewej - Bogusław Handziej

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Elżbieta Łukjańczuk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Okienko w Baszcie Kowalskiej - Łukasz Rycąbel.

Pionier oświaty na ziemi złotoryjskiej

Wspomnieniem, zadumą i modlitwą pożegnaliśmy w Kościele św. Jadwigi w Wysocku Rozalię Styczeń – jedną z najaktywniejszych nauczycielek powojennego 35 – lecia. Ostatniego już pioniera polskiej oświaty na Ziemi Złotoryjskiej, organizatorkę dwóch szkół w powiecie złotoryjskim.

Rodzinne strony

Rozalia Styczeń urodziła się 8 XII 1922 roku w Kroczowie, w obecnym województwie świętokrzyskim. Tam ukończyła szkołę podstawową. Kontynuując naukę zdobyła maturę w Liceum Pedagogicznym w Solcu nad Wisłą. Wyższe studia zawodowe ukończyła już w trakcie pracy zawodowej.

Biskupin i Wysocko

Ukończenie Liceum Pedagogicznego dało Jej uprawnienia do podjęcia jeszcze w roku 1946 pierwszej pracy zawodowej w Radomiu; pracowała tu przez kilka miesięcy w szkole podstawowej. Ale już latem 1946 roku, z nakazem pracy, pojawiła się na Ziemiach Odzyskanych. I tu natychmiast rozpoczęła organizację szkoły w Biskupinie. W świątecznym i radosnym nastroju, z udziałem władz powiatowych, miejskich oraz księdza i miejscowej ludności dokonano otwarcia szkoły z 45 uczniami, w dniu 1. września 1946. Po roku pracy bardziej potrzebna była w Witkowie i w tamtejszej szkole przepracowała 10 lat.

W powiecie złotoryjskim nadal powstają nowe szkoły, a wśród organizatorów znowu znajdujemy Rozalię Styczeń – w gronie koleżeńskim Różę. Tym razem zaistniała potrzeba zorganizowania szkoły w Wysocku i rolę organizatora znowu powierzono Róży. Również w odświętnym nastroju oraz z udziałem władz miejskich i powiatowych otwarto tu szkołę dla 43 ówczesnych uczniów w dniu 1. września 1958 roku. Róża była nie tylko organizatorką tej szkoły, lecz przez 16 lat – jedynym jej dyrektorem. Reforma oświaty wymusiła zamknięcie szkoły w 1973 r.; radość trwała piętnaście lat i zakończyła się smutnym epizodem, który pogłębi się po kolejnych 15 latach. Przez następne pięć lat pracowała w Szkole Podstawowej w Rokitnicy, przechodząc następnie na emeryturę, w której trakcie, na początku lat 80. krótko pracowała jeszcze w SP nr1 w Złotoryi.

Działalność pozazawodowa

Dla nauczyciela okresu pionierskiego praca nie kończy się na lekcji, radzie pedagogicznej. Róża zaangażowała się w organizację kursów dla analfabetów. Założyła też szkolny teatrzyk, w którym występowali uczniowie i nauczyciele. Wyjeżdżając na teren powiatu lubińskiego i bolesławieckiego młodzi artyści zarabiali na potrzeby szkoły. Następnie przyszedł czas na kursy dokształcające dla dorosłych. Nie zabrakło Jej w Kole Gospodyń Wiejskich. Była zaangażowaną działaczką ruchu ludowego. Przez wiele lat była radną Powiatowej Rady Narodowej. Podjęła działalność w ZHP szczególnie z drużynami zuchowymi. Od początku pracy zawodowej związana była z ruchem związkowym – ZNP. I tu była nie tylko szeregowym członkiem, lecz pełniła odpowiedzialne funkcje, w tym m.in.: prezesa Ogniska ZNP w SP Rokitnica, członka Zarządu Oddziału, przewodniczącej Sądu Koleżeńskiego. Doskonale organizowała konferencje teoretyczno – pedagogiczne.

Przyjaciel Dziecka

Za swoją pracę zawodową i społeczną Róża otrzymała szereg wyróżnień. Listę otwiera nieprzypadkowo najsympatyczniejsza dla nauczyciela i wychowawcy, odznaka Przyjaciel Dziecka. Inne wyróżnienia to: Złota Odznaka ZNP, Złoty Krzyż Zasługi, Nagroda MOiW, Zasłużona dla oświaty województwa legnickiego, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Wysocko po raz drugi

Po przejściu na emeryturę Róża nadal mieszka w szkolnym mieszkaniu służbowym w Wysocku. Coraz częściej przebywa jednak – z uwagi na stan zdrowia - w Złotoryi. Mieszkanie w szkole nadal jest jednak zajęte i to wywołuje dość ostry rozdźwięk w środowisku. Był to smutny rozdział w Jej życiu, ponieważ ówczesnym mieszkańcom -mającym obecnie po 60 - 70 lat - Jej uczniom i wychowankom mieszkanie ich dyrektorki wychowawczyni było niezbędne na świetlicę wiejską. Rozstanie z Wysockiem na początku lat 90. było rozstaniem fizycznym, wyłącznie w sferze organizacyjnej i materialnej – uczuciowo Róża w Wysocku pozostała nadal. W grudniu 2008 wyjechała do rodziny, do Siemianowic Śląskich i tu zmarła (23 lutego 2009) - tu także została pochowana.

Wysocko po raz trzeci

Kiedy dotarła do nas wiadomość o Jej odejściu, postanowiliśmy zamówić w Jej intencji mszę świętą. Nie ma lepszego miejsca i właściwszej świątyni na świecie, niż kościół w Wysocku. Tu przez 16 lat stały obok siebie dwie świątynie: religijna, której patronuje św. Jadwiga oraz świecka, gdzie życie oświatowe organizowała Róża. Te dwie świątynie nie rywalizowały ze sobą, nie były wobec siebie konfrontacyjne. Dzieci przystrajały szkołę i kościół, sypały tu kwiatki. Na placu szkolnym i przykościelnym koncentrowało się życie duchowe mieszkańców Wysocka. Całe pokolenie spędziło tu niezapomniane chwile.

Dlatego właśnie stąd, z tego, a nie innego miejsca pobiegły nasze myśli ku Róży oraz nasza prośba i modlitwa o niezakłócony i wieczny dla Niej – dla pioniera polskiej oświaty na Ziemi Złotoryjskiej – spoczynek wieczny.

Cześć Jej pamięci.

„Nie lubimy ceremonii pogrzebowych”
Tak pewnie pomyślały władze miasta i powiatu. Kościółek w Wysocku, mimo iż wypełniony zmieściłby pewnie jeszcze po jednym przedstawicielu tych instytucji. Istnieje przecież coś takiego, jak ciągłość urzędu (instytucji). Po mszy, ze łzami w oczach podeszła do mnie grupka seniorek z Wysocka, z podziękowaniami za to, że „to tu zrobiliśmy – Jej się to należało”. Słowa te dedykuję nieobecnym.

Ksiądz proboszcz nie tylko mszę „odprawił”- dało się zauważyć, że szczerze przeżywał to wydarzenie razem z uczestniczącymi w nabożeństwie.

Młodszym i najmłodszej generacji trudno sobie wyobrazić, a nielicznemu już pokoleniu, które było świadkiem pionierskich lat wymknęło się to już z pamięci, co oznaczają pionierskie lata. Pionier oświaty lat 1945-46 mógł liczyć na pomoc rodziców, których dzieci czekały na szkołę. Musiał jednak liczyć głównie na siebie – miał budynek i dzieci, a nie było podręczników, zeszytów, przyborów do pisania, opału itp. Pionier nie mógł liczyć na pensję. A na naszą pamięć ?

Alfred Michler

Czego nie wyśpiewamy, to wygotujemy

Jedziemy z Agnieszką do Czapli. Zawsze myślałam, że to kilka domów przy drodze do Lwówka, a tymczasem sama wioska schowana jest za laskiem kilometr od głównej drogi. Niewielka, bo 76 numerów, a mieszkańców 319. Szare, marcowe popołudnie. Na krzyżówce pytamy o drogę.

– Stara szkoła? To kawałek za kościołem.

Wielkie słowo, raczej kościółkiem i sklepem spożywczym. Parkujemy pod budynkiem raczej mocno odrapanym, ale z wymienionymi oknami.

Kamienna tablica informuje nas, że w 1912 roku założono tu szkołę ewangelicką. Teraz stara szkoła służy wsi jako miejsce spotkań, zabaw i wesel. Jest też siedzibą stowarzyszenia o tej samej nazwie.

Na schodkach czekają już na nas gospodynie obiektu oraz żona sołtysa pani Ania Abramek, która jest entuzjastką zespołu. Wozi go na imprezy, pomaga w zdobywaniu funduszy. Tylko śpiewać nie chce, bo twierdzi, że głos nie ten. Wchodzimy do budynku. Chłodno i skromnie. Siadamy za stołem zastawionym ciastem domowej roboty i gawędzimy przy herbatce. Kierowniczka **Irena Walasek** wymienia skład zespołu. Są to oprócz niej panie: **Alina Nowalska, Wanda Kazek, Danuta Rychlicka, Maria Rychlicka, Jadwiga Makowska** oraz jeden pan na okrasę -**Stanisław Rychlicki.** Zespół istnieje od około trzynastu lat.

- Wszystko zaczęło się od wyplatania – opowiada pani Irena. – Gdy ówczesna szefowa koła gospodyń wiejskich, pani Połaczewska, poprosiła mnie o pomoc przy splataniu wieńca dożynkowego, zwołałam kilka sąsiadek i wzięłyśmy się do roboty. A jest jej niemało, bo trwa to przeciętnie dwa tygodnie – dzień w dzień. Wpierw trzeba zebrać kłosy, dorodne i zielone, żeby po wyschnięciu ziarno się nie sypało.

- Latamy po polach z nożycami i szukamy najdorodniejszych - wybuchają głośnym śmiechem.

- Na dożynkach w Chocianowie niedowiarki sprawdzały, czy aby nie sztuczne te nasze kłosy – kontynuuje pani Irena. - Wzór wieńca każdego roku jest inny. Szukamy w kalendarzach, katalogach czy po prostu same wymyślamy. Ostatni projekt to kielich, stelaż z drutu zrobił pan Stanisław Rychlicki.

- Resztą zajęłyśmy się z wcale niezłym skutkiem – chwalą się panie.

A świadczą o tym liczne nagrody i wyróżnienia. Oglądamy zdjęcia i podziwiamy. Na ścianie wiszą dyplomy, a na stoliku stoją serwisy i inne pamiątki otrzymane w nagrodę za dożynkowe dzieła.

- No, a jak już ten wieniec wnosimy, to przecież nie w milczeniu, trzeba go ośpiewać – opowiada pani Danusia. – I tak się zaczęło nasze śpiewanie. Pierwsze dożynki były trzynaście lat temu w Nowej Wsi Grodziskiej, gdzie wystąpiłyśmy w białych bluzkach i czarnych spódnicach. Ponieważ wśród kolorowych koleżanek poczułyśmy się jak kopciuszki, na następną uroczystość uszyłyśmy sobie stroje, w których występujemy do dzisiaj.

Na zdjęciach widzimy je wystrojone w czerwone kamizelki, długie kwieciste spódnice i białe fartuszki bogato haftowane. Całości dopełniają czerwone korale.

- Wystąpiłyśmy też w Radiu Wrocław– wspomina pani Maria. W październiku 2008 roku radio przyjechało do naszej wsi i nagrało z nami audycję o zespołach regionalnych.

Ale najbardziej pamiętne dożynki parafialne, opowiadają jedna przez drugą, były cztery lata temu w Zgorzelcu. Przeżyły wtedy istny horror. Burza z piorunami i ulewny deszcz zaskoczyły je na samym początku. Nie było dokąd uciec. Stały po kostki w wodzie pod najbliższym drzewem, wystraszone i przemoczone do suchej nitki. Na szczęście spektakl przyrody zakończył się po półgodzinie i wszystko potoczyło się zgodnie z programem.

- Nasze śpiewanie może nie jest zbyt profesjonalne, ale staramy się mieć urozmaicony repertuar – pani Wanda opowiada z przejęciem. – Od tradycyjnych ludowych piosenek poprzez kolędy aż do współczesnych biesiadnych. Jako ***Czaplanki*** jesteśmy zarejestrowane dopiero trzy lata. Jednak śpiewamy od dawna i jeździmy na zaproszenia po całym powiecie, a czasem i dalej. Czego nie wyśpiewamy, to wygotujemy. Mamy przecież wiele nagród właśnie za gotowanie. Nasze popisowe danie to pierogi. A najlepsze to te z kaszą, mięsem i grzybami. Nawet Robert Makłowicz podczas wizyty w lasku u księdza proboszcza Franciszka Wróbla nie mógł się nachwalić naszych potraw. Drugim popisowym daniem jest kwaśnica, ale nie góralska, lecz dolnośląska. Brakuje nam tylko muzyków. Tych musimy na nasze imprezy wynajmować, na co składa się solidarnie cała wieś.

Oprócz występów zespół zajmuje się organizowaniem życia towarzysko – kulturalnego wsi. Mają też liczne imprezy dla dzieci. Ostatnie ferie szkolne były bardzo udane. Do starej szkoły przyszło aż 54 dzieci w wieku od trzech do siedemnastu lat. Wszystkie ciekawie spędzały czas. Dzieci robiły stroiki i zajadały się deserami wykonanymi przez ***Czaplanki***. Kobiety współpracują ze wspomnianym już stowarzyszeniem ***Stara Szkoła***, które w czasie ferii było autorem amatorskiego przedstawienia teatralnego w wykonaniu dzieci i dorosłych. Składało się ono z zestawu skeczów i żartobliwych scenek. Wszyscy bawili się świetnie, było bardzo wesoło.

- Oczywiście nie robimy tego same, pomaga nam rada sołecka – mówi pani Wanda. – Nie możemy też pominąć pana Zenona Bernackiego, który pomaga nam w wielu przedsięwzięciach. Bo on jest z naszej wsi.

Rozmowa dobiega końca. Czas się żegnać, a mnie szkoda opuszczać to miejsce. Czuję tu energię i zapał kobiet, które choć nie mają do dyspozycji zbyt dużo czasu czy pieniędzy, starają się uczynić życie tej niewielkiej wsi ciekawszym i bogatszym. Miejsce to, chociaż tak bardzo skromne, istnieje dzięki ich zapałowi i pracy. Tutaj wszyscy mogą poczuć, że mają azyl, gdzie przy zabawie zapominają o codziennych kłopotach i troskach.

Wspominając minione lata podsumowujemy, że wszystko zaczęło się od tej zwrotki:

A my ten wianeczek teraz ośpiewamy,
Zanim w przodowników ręce oddamy.

tekst Elżbieta Łukjańczuk
zdjęcia Agnieszka Młyńczak
zdjęcia z archiwum zespołu

Kwaśnica dolnośląska

Bierzemy pół kilo skrzydełek drobiowych lub żeberek, zalewamy wodą, dodajemy kwaśnej kapusty ile kto lubi (około 0,7 kg). Garść suszonych borowików wcześniej namoczonych wrzucamy do wrzącego wywaru. Gotujemy półtorej godziny, doprawiamy solą, pieprzem i czosnkiem. Garnuszek śmietany osiemnastki zaprawiamy mąką i wlewamy do zupy. Następnie ją przecedzamy i podajemy w filiżankach. Najlepiej smakuje z ruskimi pierogami. Pozostałą zawartość po odcedzeniu można zużyć do pierogów lub krokietów.

Bliskie spotkanie z fiskusem

Jak co roku wybrałam się do urzędu skarbowego, dobrowolnie wykonać obowiązki podatkowe, czyli złożyć zeznanie. Już sam wyraz *zeznanie* sugeruje jednoznacznie, że podatnik, czyli ja - według fiskusa - nie jest do końca szczery i dlatego trzeba go przesłuchać. Wszak urząd skarbowy ma do spełnienia misję, która między innymi ma na celu *zbudowanie mojej świadomości sprzyjającej dobrowolnemu wykonywaniu obowiązków podatkowych.*

W dniu mojej wizyty, podczas której będzie budowana moja świadomość, nie ma zbyt długiej kolejki, mimo to, nauczona doświadczeniem z lat ubiegłych, zaopatrzyłam się w interesującą książkę, aby czas szybciej minął. Na razie stoję na korytarzu, skąd za chwilę poprosi mnie strażnik pełniący tutaj rolę „kolejkowego”. Baczy pilnie, aby podatnicy nie zakłócili spokoju i bezpieczeństwa (?) urzędników. Za chwilę kolejkowy strażnik wpuszcza mnie do hali przesłuchań, gdzie jest następna kolejka, ale tym razem na siedząco, do czego służy rząd krzeseł pod ścianą. Prawdopodobnie one *zapewniają wysoką jakość świadczonych usług* - jeden z aspektów tejże misji, o czym zapewnia ogromna tablica wiszaca na ścianie hali.

Dołączam do kolejki i czekam wraz z kilkoma osobami na złożenie zeznania. Za długim kontuarem kilka młodych, skromnych, anonimowych urzędniczek. Każda ma przypięty identyfikator z numerem. Panie te bardzo kompetentnie, dość szybko, sprawdzają nasze PIT-y i postanawiam nie otwierać książki, którą z sobą przyniosłam. Zaraz będzie moja kolej. Ale cóż to? Pan przede mną już miał odejść od urzędniczki nr XX, gdy ta przywołała go władczym gestem z powrotem. Nie widzę jego twarzy, ale na twarzy urzędniczki widnieje wyraz zwątpienia zmieszanego z lekką przyganą. Zaczyna się rozmowa, której strzępy docierają do oczekujących na krzesłach. Wszyscy w jednym momencie dyskretnie odwracają wzrok udając, że nie słuchają tego dialogu. Lecz głosy pani nr XX i podatnika podnoszą się, i docierają do nas bez przeszkód poprzez linię poufności nakreśloną z rozmachem wzdłuż hali przesłuchań. Już nie możemy udawać, że nie słyszymy, więc otwarcie przyglądamy się scenie. Przestało być nudno.

- Jest pan pewien, że nie ma pan innych dochodów? - pyta nr XX.

- Co pani myśli? Że ja jestem jakimś oszustem? Jestem uczciwym podatnikiem! - mężczyzna lekko podniósł głos.

Urzędniczka nr XX próbuje nie dać się wyprowadzić z równowagi, ale widać, że to długo nie potrwa.

- Ja mogę to tak zostawić, bez poprawiania, ale ostrzegam, że może pan mieć kłopoty.

- Jakie kłopoty? Tu jest wszystko dobrze, ja się radziłem prawnika! - podatnik jeszcze bardziej podnosi głos, a jego plecy zdradzają irytację. Zaczyna wymachiwać rękami, jakby podkreślając swoje racje.

W hali przesłuchań zapadła pełna napięcia cisza. Pani nr XX rozgląda się rozpaczliwie dookoła, jakby szukając pomocy, ale żadna z jej koleżanek nie chce się wtrącać, a strażnik odwrócił ostentacyjnie głowę, udając że nic nie słyszy.

W tym momencie do hali wchodzi pracownica obsługi z wiadrem i mopem. Dzień jest mokry, na dworze pada śnieg, który wraz z piachem wnoszą na butach podatnicy. Sprzątaczka zanurza mop w wiadrze i metodycznie zaczyna wycierać podłogę. Widzę, jak mop sunie bardzo szybko w moim kierunku, więc w ostatniej chwili pospiesznie podnoszę nogi uciekając przed brudną ścierką. Obsługa bez słowa sunie dalej niewzruszenie. Podatnicy muszą być czujni, więc po kolei podnoszą nogi bezpiecznie unikając kontaktu z mopem. Sprzątaczka zanurza swoje narzędzie w wiadrze, starannie je wykręca, do wiadra spływa brudna woda. Pracownica przechodzi poza strefę poufności, gdzie także należy wyczyścić podłogę. Mop zbliża się nieuchronnie do pana, który w ferworze dyskusji z urzędniczką nie rejestruje niczego, co się dzieje dookoła. Sprzątaczka dociera ze ścierką do stóp mężczyzny. Jednak stopy nie podnoszą się ulegle jak te z kolejki. Mop więc trąca je z irytacją, przecież podłogę trzeba wytrzeć! Te wszystkie buty tylko przeszkadzają! Naciska mocniej, więc oporne stopy podnoszą się bez udziału świadomości ich posiadacza… i … ach! Mężczyzna zaczyna tracić równowagę, odchyla się niebezpiecznie na krześle… Zaraz upadnie! Kolejka wstrzymuje oddech. Upadnie, czy nie? Sprzątaczka, widząc to, zupełnie spokojnie, jakby mimochodem, podpiera barkiem mężczyznę, który powraca do równowagi, w ogóle nie zauważając, że był tak blisko upadku. Kolejka zbiorowo wypuszcza z ulgą powietrze.

- No dobrze, jak pan chce. To pan się podpisuje pod tym zeznaniem - ustępuje w końcu nr XX, a podatnik odwraca się w naszym kierunku, patrząc zwycięsko.

Runda skończona, zawodnicy wycofują się do narożników. Znów zapada senna cisza ze szmerem rozmów poza linią poufności, a sprzątaczka nadal walczy z brudną podłogą i jeszcze brudniejszym mopem. Woda w wiadrze przybrała kolor ziemi i jest już gęsta jak żur.

Nadchodzi moja kolej, więc idę z zeznaniem, które, jak zwykle, jest poprawiane w wielu miejscach przez urzędniczkę, pomimo skrupulatnego czytania przeze mnie instrukcji obsługi PIT-ów. Chyba nie potrafię czytać ze zrozumieniem. Zwłaszcza biuletynów fiskusa. W końcu oddaję dokument i z ulgą odchodzę od kontuaru.

Przy drzwiach stoi urna dialogu. Nie wiem, z kim miałabym prowadzić dialog za pośrednictwem urny??? Próbuję podejść i poczytać, o co chodzi, ale powstrzymuje mnie wyczekujące spojrzenie kolejkowego strażnika. Rejteruję zatem pospiesznie z hali przesłuchań. Nie jest mi dane tym razem nawiązać dialogu z urną. Ale nic to, następne zeznanie już za rok.

w kolejce czekała Agnieszka Młyńczak

Nuweiba nad Zatoką Akaba. W tle - góry Synaj

Popielgrzymkowe refleksje

Są takie podróże, o których się marzy, o których się śni, na które czeka się z niecierpliwością tak wielką, że aż człowiek boi się, czy dojdą do skutku, i czy nic w ich spełnieniu nie przeszkodzi…

Nie czekałam na tę podróż w taki właśnie sposób, zajęta codziennymi obowiązkami, nie przygotowałam się chyba do niej należycie, pakowałam się w ostatniej chwili i jechałam nie znając na pamięć rozkładu poszczególnych dni. A jednak okazała się cudownym, niepowtarzalnym przeżyciem, tak głębokim i ważnym, że nazwałam ją „podróżą życia". Podróżą i pielgrzymką jednocześnie.

W październiku minionego roku kilkadziesiąt osób ze Złotoryi i okolic wzięło udział w pielgrzymce zorganizowanej przez parafię NNMP i jej proboszcza Stanisława Śmigielskiego oraz legnickie biuro podróży „Voyager"- do Izraela i Egiptu. Plan był bardzo ambitny. Podczas dwutygodniowej wyprawy mieliśmy obejrzeć najważniejsze miejsca w Ziemi Świętej związane z życiem, nauczaniem i męczeńską śmiercią Pana Jezusa, ale także zapoznać się z historią judaizmu i najważniejszymi pamiątkami tej religii. Dla wielbicieli geografii i ciekawostek krajoznawczych zaplanowano wiele atrakcji w postaci pięknych widoków, geologicznych osobliwości, starożytnych budowli, a także możliwości znalezienia się w najgłębszej depresji świata - Morzu Martwym. No i oczywiście kąpieli w nim, a także w Morzu Czerwonym!

Przelot z Katowic do Sharm El Sheikh w Egipcie przebiegł bez zakłóceń i trwał ok. czterech godzin. Wzbiliśmy się na wysokość 10 tys. km, lecieliśmy z prędkością 900 km/godz., informowani o temperaturze na zewnątrz (brr…) – 50 ^{0}C! Na miejscu odczuliśmy od razu, że jesteśmy w innej już strefie klimatycznej i czekając na nasze bagaże, zaczęliśmy z siebie zdejmować kolejne warstwy ubrań. Bez przesady oczywiście! Ruszyliśmy autobusem w stronę granicy egipsko-izraelskiej. Przekraczanie jej nie było najprzyjemniejsze. Trwało długo i wiązało się z przenikliwym sprawdzaniem naszych zamierzeń co do dalszej podróży. Poinstruowani, najgrzeczniej jak umieliśmy, odpowiadaliśmy izraelskiej służbie granicznej na wszelkie pytania: „I dont understand" i … przechodziliśmy dalej. Wreszcie Ejlat i Izrael! Podróż przez pustynię Negew była nieprawdopodobna! I pomyśleć, że tą właśnie drogą kroczył naród wybrany z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Słowo „negew" dosłownie oznacza suchy ląd. Powierzchnia jej wynosi ponad 10 tys. km^2 co stanowi 50% obszaru Izraela.

Pustynia Judzka i Negew tak surowe
przyprawiły o zachwyt i pokorę mą głowę.
Bezkres skał i gór pozbawionych źdźbła trawy
sprawiła, że nabrałam respektu dla polskiej murawy.
Jak trudne jest życie ludzi pustyni!
A mimo to – tak właśnie egzystują Beduini.
Czy są przez to szczęśliwi? Czy tęsknią za światem?
Może lepiej wiedzą,
co jest sensem ziemskiego życia zatem?

Jakże byliśmy ciekawi, jak wygląda to słynne Morze Martwe! I wreszcie ukazało się ono naszym oczom. Imponujących rozmiarów i zachwycające błękitną barwą! Granica lustra wody wyznacza najniższy dostępny człowiekowi punkt na Ziemi. Srebrzysta tafla jest obecnie położona na głębokości 408 m p.p.m. i nadal się obniża. Zgodnie z nazwą nie ma w nim życia organicznego. Zasolenie wody osiąga 26% , a złoża gotowej do wydobycia soli, szacowane są na 43 mld ton.

Kąpiel w Morzu Martwym to niepowtarzalne przeżycie! Przypomina pluskanie się w wannie z ciepłą wodą, do której wsypano kilka kilogramów soli (niemal do nasycenia roztworu) i dolano sporo oleju. Ciecz wypiera pływaka niemal na powierzchnię, ciało unosi się w wodzie bez najmniejszego wysiłku. Leżąc nieruchomo, bez trudu można czytać gazetę lub książkę. I tak właśnie się fotografujemy w miejscowości Ein Bokek. Po kilku minutach kąpieli, gdy czujemy już lekkie swędzenie skóry, wyskakujemy z wody i opłukujemy się pod prysznicem ze słodką wodą stojącym na plaży. Ale przemożna chęć zanurzenia się ponownie w „przesolonej" cieczy, sprawia, że po chwili znów do niej wracamy. Zabawne są nasze próby pływania w niej lub zmiana ułożenia ciała: z pleców na brzuch i odwrotnie. Próby te spełzają często na niczym w tak gęstej i oleistej wodzie, a odważniejsze ewoluacje kończą się nieprzyjemnym zachlapaniem oczu, co (pamiętajmy o jej zasoleniu) nie należy do najprzyjemniejszych doznań.

Ale czas ruszać w dalszą drogę! Zabieramy na pamiątkę po kilka grudek soli (mają różną wielkość: od rozmiarów orzecha laskowego po włoski) i, zastanawiając się, czy uda nam się je dowieźć do Polski, pakujemy je do foliowych woreczków, aby pokazać najbliższym i wzmocnić autentyzm naszych późniejszych opowieści.

Po południu docieramy do miejscowości Jerycho, które na dwa kolejne dni ma nam dać schronienie i przyjemność odpoczynku. Ponieważ mamy kilka godzin do kolacji, znów się pluskamy, tym razem w hotelowym basenie, gdzie z radością zadającą kłam stwierdzeniu, że człowiek jest istotą lądową, moczymy się, pływamy, masujemy bąbelkami… do późnego wieczora. A ile przy tym radości i śmiechu! Jak dzieci!

Trzeci dzień pielgrzymki zaczynamy od poznania Jerycha. Mówią na nie „miasto palm", stąd pochodzą ponoć najsłodsze daktyle na świecie . Faktycznie, są pyszne! Ponieważ miasto jest położone w dolinie rzeki Jordan, dlatego jego oaza rozciąga się niczym zielony kobierzec pełen urodzaju. A wokół pustynia… Jest to jedno z najstarszych miast na świecie. Starożytne Jerycho – Tel el – Sultan powstało w 7000 roku p.n.e. i było pierwszym miejscem, w którym na stałe osiadł człowiek i z łowcy stał się plantatorem. Pamiętamy o słynnych „murach Jerycha", które rozpadły się na dźwięk trąb kapłanów izraelickich, prowadzonych przez Joszuę po tym jak przekroczyli rzekę Jordan w pobliżu miasta. To znaczy coś tam pamiętamy, ale mało dokładnie. Te wszystkie szczegóły i historie biblijne w fascynujący sposób przybliża nam profesor biblista z Olsztyna ks. Bogdan Wiktor Matysiak. Słuchamy go dosłownie z otwartymi ustami i chłoniemy jego opowieści jak najpilniejsi studenci. Niektórzy (ja się do nich też zaliczam) nawet skrzętnie notują.

Po mszy świętej w kościele franciszkańskim pw. Dobrego Pasterza spotykamy się przy drzewie sykomory, na które miał wspiąć się Zacheusz, zwierzchnik celników, który był niskiego wzrostu, a bardzo chciał zobaczyć Jezusa przechodzącego przez Jerycho w drodze do Jerozolimy. Sykomora to drzewo z gatunku fikusów beniaminów, dość wysokie i rozłożyste. Za czasów Jezusa w Jerycho mieszkali bardzo pobożni ludzie, ale pogardzani przez

Ciało w wodzie Morza Martwego unosi się bez najmniejszego wysiłku ...

faryzeuszy, bo stykali się z grzesznikami – nie Żydami –celnikami, pobierającymi opłaty, uznawani byli za „gorszych". W czasach biblijnych miasto było bardzo ludne, ponieważ liczyło ok.2 tys. mieszkańców, obecnie ma ich około 20 tysięcy.

Na zachód od niego znajduje się Góra Kuszenia, w której zboczu mieści się grota, gdzie Chrystus miał przebywać w ciągu czterdziestodniowego postu w osamotnieniu, opierając się pokusom szatana, który obiecywał Mu „wszystkie królestwa świata". W połowie drogi na szczyt góry zbudowano w XIX wieku prawosławny klasztor grecki (dziś zamieszkuje go tylko kilku mnichów). Pod Górą Kuszenia i nas wystawiono na pokusy, mianowicie gdy tylko tam przyjechaliśmy, natychmiast pojawiło się kilku ciemnoskórych handlarzy, którzy żarliwie zachęcali nas do kupna przeróżnych korali z półszlachetnych minerałów. Były tam agaty, turkusy, malachity, różne odmiany kwarcu. Piękne! Jakby prosto z Nowego Kościoła przywiezione! Kupiliśmy kilka egzemplarzy, a jakże! Zwłaszcza, że poznaliśmy smak targowania się i tak nam się to spodobało, że weszło nam w krew już na cały okres naszego pielgrzymowania.

Czwarty dzień rozpoczął się od pożegnania Jerycha. Czekała nas mianowicie podróż do Betlejem, miejsca gdzie rozpoczęła się historia życia Jezusa, syna Maryi. Jedziemy wzdłuż pustyni Judzkiej, a właściwie wspinamy się w górę o około kilkaset metrów. Znów mijamy obozowiska koczujących na pustyni Beduinów, którym ani w głowie zmieniać swój styl życia i np. przenieść się do miasta. Trudno zrozumieć ich przyzwyczajenia… Z czego oni tu żyją??? Wokół pustynia, skały, piaski, kompletny brak

Nasze pierwsze zakupy w Izraelu

roślinności. Tylko gdzieniegdzie, gdy w szczelinach skalnych znajdzie się nieco wody, pojawiają się karłowate roślinki.

W drodze do Betlejem mijamy Jerozolimę – miasto młodsze od Jerycha „tylko" o 5000 lat… Widzimy wyraźnie fakt dyskryminowania w nim Palestyńczyków, którzy mają prawo mieszkać tylko w strefie wydzielonej im przez społeczność żydowską. Osiedle mieszkaniowe Palestyńczyków jest ogrodzone murem, widocznym na jednym ze wzgórz Jerozolimy.

Betlejem znajduje się z kolei w enklawie palestyńskiej. Rodzi to różne komplikacje również dla turystów, ponieważ ciągle jesteśmy poddawani kontroli dokumentów przez obie strony. Pilnujący posterunków, żołnierze wyglądają czasem bardzo groźnie i, choć z reguły mili, nieco nas stresują, zwłaszcza widokiem swej broni, przewieszonej przez ramię i ponawnymi minami. Są tacy młodzi! Myślimy o tym, że powinni chodzić teraz do szkoły, zamiast zajmować się sprawami obronności kraju, sprawami dorosłych…

W Betlejem (to ok. 10 km od Jerozolimy) kierujemy się od razu do Kościoła Narodzenia Pańskiego, który jest najstarszym kościołem chrześcijańskim na świecie. Podczas inwazji Persów w 614 r. n.e., kościół jako jedyny ocalał od zniszczenia. Dlaczego? Zawdzięcza to jednej z mozaik ściennych, która przedstawiała pokłon Trzech Króli, ubranych w szaty perskie. Najeźdźcy uznali, iż postacie widniejące na mozaice są magami z Persji i świątyni nie zburzyli. Jakież dziwne są przypadki w dziejach historii!

Miasto Betlejem, kiedyś maleńka wioska pasterzy, na całym świecie jest znane jako miejsce urodzenia Jezusa. Józef i Maryja przybyli do niej z Nazaretu z powodu spisu ludności, zarządzonego przez władze Cesarstwa Rzymskiego. Józef wywodził się mianowicie z rodu Dawida, a Betlejem było „miastem Dawidowym". To tłumaczy zagadkę, dlaczego Zbawiciel pochodził z Galilei, a przyszedł na świat w Judei.

Po niedługiej chwilce oczekiwania mamy to szczęście wejść do Groty Narodzenia – jednego z najświętszych miejsc w religii chrześcijańskiej. Serce drży z przejęcia, schodzimy ostrożnie po schodach, czujemy intensywny zapach kadzidła… Panie oczywiście pamiętają o zakryciu chustą ramion, panowie ustawiają aparaty fotograficzne. Zdenerwowanie i nerwowe oczekiwanie narasta z każdym stopniem schodów… Wchodzimy do wnętrza

- Tak wygląda Betlejem współcześnie. Miasto liczy ok. 30 tys. mieszkańców

groty. Lśniąca srebrna gwiazda w posadzce wyznacza miejsce, w którym stał żłóbek. Łaciński napis głosi: „Tutaj z Dziewicy Maryi narodził się Jezus Chrystus". Jeszcze chwila i każdy z nas z wielką czcią klęka i składa pocałunek na świętym miejscu. Teraz już nie tylko serce ale i nogi drżą i niektórym ciężko wstać z kolan. Trudno opisać to uczucie! Jestem w takim cudownym miejscu!

Później msza w grocie św. Józefa, podczas której na cały głos śpiewamy kolędy, bo to przecież Betlejem, miejsce narodzin Jezusa, następnie wychodzimy z Bazyliki Drzwiami Pokory. Wejście zostało kiedyś specjalnie zwężone i obniżone, aby uniemożliwić najeźdźcom muzułmańskim wjeżdżanie do świątyni na koniach. I my też, aby przejść nimi, musimy pokornie schylić głowy, a kto o tym zapomina, boleśnie to przypłaca guzem na czole. Miejscowy fotograf namawia nas do zrobienia sobie pamiątkowego grupowego zdjęcia przed Bazyliką. Gdy cena usługi zostaje po zwyczajowych targach obniżona do kwoty satysfakcjonującej obie strony – ustawiamy się do wspólnej fotografii. W hotelu przy kolacji już na nas te zdjęcia czekały, okazały się miłą pamiątką (wprawdzie za kilka dolarów, ale… czy wszystko należy przeliczać na złotówki?).

Zaglądamy do Groty Mlecznej, która upamiętnia ucieczkę Świętej Rodziny do Egiptu. Według legendy, podczas gdy Maryja karmiła małego Jezusa, kropla pokarmu spadła na kamienie, które zrobiły się białe (stąd biały kolor skały kredowej w Grocie). Pięknie tu. I taki uroczy jest ten obraz karmiącej Maryi… Do świątyni ponoć do dzisiaj przybywają młode cierpiące matki z problemami z pokarmem, a sproszkowaną skałę sprzedają handlarze z dewocjonaliami. My

Na zachód od starożytnego Jerycha znajduje się Góra Kuszenia

ujrzeli pasterze, gdy ukazali im się aniołowie.

Po krótkiej podróży wysiadamy przed sklepem prowadzonym przez kilka rodzin katolickich i po namowach księdza przewodnika, aby wspomóc braci chrześcijan, robimy tu zakupy licznych pamiątek. Co rezygnujemy z takiego zakupu, natomiast chętnie nabywamy komplety pocztówek przedstawiające miasto Dawida i jego okolice.

Jedziemy na odległe o 3 km od Betlejem - Pole Pasterzy. Tradycja chrześcijańska umieszcza tam scenę obwieszczenia pasterzom radosnej nowiny o przyjściu Mesjasza. Wchodzimy do pięknej krainy zieleni, barwnych kwiatów, roślinności naskalnej, pinii, sosen, palm, ale także opuncji, aloesów i kaktusów. Cicho szemrze woda tryskająca z Fontanny Pasterzy, zapach przecudny jakiś unosi się wokół, cieplutko (w czasie naszego pobytu codziennie ok. 30^{0}C), błogość i radość nas ogarnia… Magia miejsca? Autentyczne doznania? Siła sugestii? Czar opowieści księdza profesora? Co lub kto to sprawia? Nie wiem, ale czuję się tu cudownie i zarazem nierealnie jakoś. I chciałabym, aby ta chwila długo jeszcze trwała. Chwilo trwaj!!!

Schodzimy do wapiennej groty, w której spali pasterze, kiedy zadziwiła ich jasność z nieba, oglądamy szopkę bożonarodzeniową wewnątrz, a następnie nawiedzamy franciszkańską Kaplicę Pasterzy. Ma ona kształt beduińskiego namiotu z łukiem symbolizującym jaśniejącą gwiazdę, jaką

Po drodze podziwiamy malowniczą panoramę okolicznych wzniesień i rozumiemy, dlaczego miasteczko tak się nazywa. Ein Karem oznacza „źródło winnicy" i rzeczywiście wokół, gdzie okiem sięgnąć, panoszą się plantacje oliwkowo-winogronowe.

To tutaj odwiedziła Maryja swą kuzynkę Elżbietę po dziesięciodniowej podróży z Nazaretu (odległość ok.180 km) i przebywała u niej trzy miesiące. A gdy pozdrowiła Elżbietę, „poruszyło się dziecię w jej łonie" i wkrótce potem urodziła syna, Jana. Podczas tego nawiedzenia Maryja wypowiedziała słynne słowa hymnu Magnificat uwielbiającego Boga. Na wewnętrznej ścianie dziedzińca sanktuarium umieszczono mozaikowe tabliczki z tekstem tego hymnu w 45 różnych językach. Oczywiście nas interesuje „nasza" tabliczka - w polskim języku i szybko ją odnajdujemy: „Wielbi dusza moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim…" Miejsce to tchnie spokojem i pozwala na chwilę skupienia i kontemplacji. Jakże się cieszę, że tu mogę być!

Danuta Kubicz

kupujemy? Przede wszystkim dewocjonalia różnej wielkości, z różnego materiału: z drzewa oliwkowego, z półszlachetnych kamieni, ze srebra i złota. Przebojem okazuje się też być (ale już po wyjściu ze sklepu) chustka tzw. "arafatka", którą sprzedaje nam arabski handlarz tuż przy autobusie. Należałoby użyć liczby mnogiej, bo takich chustek kupiliśmy kilkanaście. Nasi panowie ustroili się w nie i gustownie przebrani pozowali do zdjęć. Zresztą, te chusty bardzo się potem przydały na pustyni w Egipcie!

Dzisiaj jeszcze odwiedzamy małe miasteczko Ein Karem, które jest, według tradycji, miejscem narodzin Jana Chrzciciela. Zachariasz, ojciec Jana, był kapłanem i posiadał tam dom letni. Modlimy się w XII- wiecznym kościele p.w. św. Jana Chrzciciela, który stoi dokładnie w tym miejscu, gdzie urodził się święty. Na ścianach ciekawostka – dekorowane płytki ceramiczne z Walencji, wszystkie w kolorze błękitnym. Przepraszam za moje skojarzenie, ale wnętrze kościoła przypomina mi nieco… łaźnię - z tymi kaflami. Co nie przeszkadza mu być pięknym.

Pieszo wspinamy się na wzgórze, gdzie mamy poznać jeszcze Kościół Nawiedzenia Św. Elżbiety. Po

W obronie pruskiego urzędnika

Regularnie czytam *Echo* i z przyjemnością powiększam wiedzę o mojej małej ojczyźnie, jak i o historii regionu. Bardzo przyjemnie jest co miesiąc czytać czasopismo, które, wolne od nachalnej polityki, dostarcza mi wielu miłych chwil i bieżących informacji o regionie. Nie mieszkam już w Złotoryi, ale regularnie w niej bywam. *Echo Złotoryi* to dla mnie ogniwo łączące mnie z moim rodzinnym miastem. Uważam, że teksty są na dobrym poziomie, chociaż czasem może troszkę szwankuje korekta. Jednak jak na niewielkie w końcu miasto, jakim jest Złotoryja, *Echo* ma znakomite, aktualne tematy, ukazuje się dwanaście razy w roku – coś wspaniałego! - i ma piękną szatę graficzną.

Merytorycznie rzadko mam coś do zarzucenia artykułom – większość tematów poznaję dopiero na łamach *Echa*. W styczniowym numerze znalazłam jednak coś, co według mnie wymaga sprostowania.

Artykuł Alfreda Michlera o Ernestynowie (z serii Panorama Gminy Złotoryja) uważam za udany, wkradł się tam jednak błąd w niemieckim słowie i co za tym idzie, błędna teoria. Autor podaje niemiecką nazwę Ernestynowa, *Ernestinenthal*, i pisze dalej: „Fonetycznie chciałoby się przetłumaczyć *Ernestinenthal* jako *dolinę Ernesta* lub *Ernestiny*. Na przeszkodzie […] stoją dwie sprawy: topograficzna – tu nie ma doliny, oraz gramatyczna – w języku niemieckim dolina to *Tal*, a nie *Thal*. Nawet gdyby pójść na łatwiznę i przyjąć, że jakiś urzędnik pruski lub niemiecki popełnił błąd dopisując literę *h*, to gdzie znajdziemy tę dolinę?"

Niemiecka forma słowa „dolina" („Tal") do 1904 r. brzmiała „Thal". Podobnie wyglądało słowo „drzwi" (dzisiaj „Tür", wcześniej „Thür"). W historii języka niemieckiego wiele było prób zreformowania pisowni. Ta najnowsza, sprzed kilku lat, do dzisiaj spędza sen z powiek nie tylko nauczycielom niemieckiego, ale i jego rodzimym użytkownikom. Jedną z takich reform przeprowadzono w 1904 roku, kiedy to słowa (niezapożyczone z innych języków) z „Th" na początku skrócono i zaczęto pisać je tylko z „T". Muszę więc wziąć tego pruskiego lub niemieckiego urzędnika z tekstu Alfreda Michlera w obronę. W tamtych czasach forma „Thal" była poprawna i znaczyła „dolina". A gdzie ta dolina w Ernestynowie, to już zupełnie inna sprawa...

W lutowym numerze znalazłam kolejny ciekawy artykuł Alfreda Michlera, tym razem o Jerzmanicach. Autor podaje nazwę znanej restauracji „Zum Goldenen Ross" i tłumaczy to na restaurację „Pod koniem". Zgadzam się, chodzi tu o konia. Ale prawidłowe tłumaczenie nazwy tej restauracji to „Pod Złotym Rumakiem". Różnica – moim zdaniem – jest. I to spora. Pozdrawiam najserdeczniej całe *Echo Złotoryi*

Wierna czytelniczka

Dziękuję za uwagi, lecz wolałbym odpowiadać konkretnej osobie – niepodpisana korespondencja bardzo źle mi się kojarzy. Zniesiono kiedyś obowiązek reagowania na anonimową krytykę prasową (lub takowe skargi), lecz na zasadzie szczególnego wyjątku, w interesie wyjaśnienia sprawy, tym razem jeszcze odpowiem.

ERNESTYNÓW

Wolę konkretną i krytyczną interwencję (np. L Wokotruba) lub rodziny Stefana Gucwy z Ernestynowa, któremu autorzy przekręcili nazwisko (w monografii Gminy Złotoryja jest prawidłowo – GUCWA).

Również chciałbym, tak jak „wierna czytelniczka", aby sprawa była prosta: dolina Ernesta (-iny). Zarysy reformy 1904 też znam, choć nie jestem germanistą, lecz w dywagacje na temat nazwy Ernestynowa wdałem się właśnie dlatego, że tu natknąłem się na wątek „t" i „th". Otóż z nazw miejscowości po 1904 „th" nie zniknęło (może reforma ich nie dotyczyła). Nie zniknęło ono nawet po radykalnej zmianie nazw miejscowości (i nazwisk) w kierunku redukcji wszystkich elementów słowiańskich – wówczas naziści przemianowali (około 1936) między innymi ówczesny Kopatsch (Kopacz) na „Schneebach". Nie ruszyli jednak „th" i w dokumentach nadal pozostał Ernestinenthal (lub Georgenthal – Jurków).

Na zakończenie, bez uszczypliwości przesyłam pozdrowienia wspaniałym Heimatliedem najwybitniejszego śląskiego romantyka rodem z Łubowic – Josepha von Eichendorffa (1788 – 1857) w oryginalnej pisowni: „O Täler weit, o Höhen" (J. Rietz,Schlesisches Liederheft).

JERZMANICE A KOŃSKA SPRAWA

„Koń, jaki jest, każdy widzi". Jasne, nad wejściem do niegdysiejszego jerzmanickiego zajazdu (z roku 1822) była umocowana kamienna tablica, a na niej napis informujący, że jest na niej nie byle szkapa, lecz „rumak", w dodatku „złoty". Hermsdorferzy chodzili więc na Bier (złocisty napój) lub na Schnaps do „złotego rumaka". Natomiast powojenni jerzmaniczanie rodem z kresowego Szwejkowa, Białohorszczy, itp., w ramach „oswajania krajobrazu" z rumaka zrobili konia i wskakiwali na piwko lub na jednego (Polak na jednego?!) już „pod konia". I tę zwyczajową nazwę, używaną w Jezrmanicach przez 30 lat przyjąłem – nie podałem jednak, że to nazwa zwyczajowa (czynili tak przede mną autorzy innych publikacji, czym nie chcę się tłumaczyć).

Skoro wyjaśniliśmy sobie ewolucję rumaka w kierunku konia, to chciałbym przy okazji rozwinąć ten „koński" wątek. Nie tylko gospodarze wpadali do gospody, aby – jak mówili – „napoić konia". Jeśli cesarz Kaligula mógł uhonorować konia wysoką godnością, to mógł to także uczynić obdarzony fantazją jerzmaniczanin R. i wprowadzić „pod konia" swojego siwka. Informatorzy milczą, kto kogo prowadził później do domu… Dziś, w roku 2009, taka sytuacja jest już niemożliwa; nie ma tej gospody, nie ma w Jerzmanicach ani jednego konia. W połowie lat 70. gospodę zamknięto, a kiedy obiekt groził katastrofą budowlaną, dokonano jego rozbiórki (2002 ?). Jednak wcześniej rączy rumak tablicę ze swoją podobizną uniósł z Jerzmanic w kierunku… Mam brzydkie przeczucie, że wieś ma jakiegoś fałszywego „konserwatora zabytków" (może jest to „końserwator"), który zaopatruje lub wskazuje, co jest na zbyciu – mniej więcej w tym samym czasie co tablica z rumakiem, zginęły w Jerzmanicach dwie duże kolumny ze źródełka św. Jadwigi (naprzeciw dworca PKP). Czujność wskazana.

Alfred Michler

Fach w rękach

Od jakiegoś czasu miałam problemy z kręgosłupem, spanie sprawiało mi dużo bólu, zamiast snu wiłam się w łóżku szukając wygodnej pozycji, koszmar!. Zdjęcie rentgenowskie przeraziło mnie. W rozpoznaniu znalazły się słowa: zwyrodnienie, dyskopatia i skrzywienie. Jakże groźnie brzmiały. Wyobraźnia robiła swoje. W myślach pocieszałam się, - że przejdzie …tylko, na kogo?" - A może operacja, ale co potem?- Strach ma zawsze wielkie oczy. Pomyślałam o rehabilitacji, jednak w kolejce trzeba długo czekać. Pracując w Przychodni usłyszałam o nowo otwartym gabinecie masażu pana Krzysztofa Kotala. Skorzystałam z okazji.

Drzwi otworzył młody uśmiechnięty mężczyzna. Gabinet nie jest obszerny, ale po cóż duży salon! Łóżko, krzesło do masażu, biurko z laptopem do pracy biurowej, szafka z olejkami, mazidłami i czymś tam jeszcze, oraz parawan. To całe wyposażenie gabinetu, ale nie najważniejszy jest sprzęt, ważne są dłonie masażysty i jego umiejętności. Pan Krzysztof wypytał szczegółowo o powód wizyty, poprosił o zdjęcie rentgenowskie. Ustalił godzinę zabiegu. Przedstawił plan rehabilitacji, który zaakceptowałam. Na drugi dzień o 16, 40 przekroczyłam próg gabinetu, trochę onieśmielona. Po pokoju rozchodził się delikatny zapach olejku cytrynowego, łóżko z podkładem jednorazowym czekało na pacjenta. Na czas rozbierania pan Krzysztof wychodzi aż trzy razy na korytarz, nie chcąc krępować klienta. Swą gotowość oznajmiłam krzykiem- „już" - Masażysta rozpoczyna penetrację kręgosłupa sprawdzając napięcie mięśni, układ kręgów, szukając bolesnych miejsc. Umiejętnie dobiera olejek i rozpoczyna się masaż, sposobem i tajnikami wiadomymi tylko masażystom. Każdego dnia masaż całego kręgosłupa z odcinkiem szyjnym trwał 35 minut, natomiast sam kręgosłup w pozycji leżącej trwał 30 minut. Za każdym razem z gabinetu wychodzę jak nowo narodzona, ale z lżejszym portfelem. No cóż, zdrowie kosztuje. Pewnego dnia udało mi się trafić na romantyczny wystrój, zapach kadzidełek mieszał się z blaskiem świec, w gabinecie panował przyjemny półmrok, domyśliłam się, że ktoś przede mną miał masaż relaksacyjny, ale ja też trochę skorzystałam, w takiej scenerii miałam wykonany swój masaż klasyczny.

Nie od razu poczułam ulgę, choć mięśnie kręgosłupa były rozluźnione, ból nadal odczuwałam. Po siódmym masażu mogłam stwierdzić, że przespałam całą noc. Jakie to przyjemne uczucie, kiedy w średnim wieku prawie nic nie boli. Dobrnęłam do 10 masażu, liczę, że na pewien czas będę miała spokój. Teraz sen sprawia mi przyjemność.

Pan Krzysztof Kotala, z pochodzenia złotoryjanin, ukończył Technikum Handlowe w Złotoryi, następnie zdecydował się na Studium Masażu w Legnicy. Uzyskał dyplom masażysty z najwyższą oceną. Rozpoczął Studia Fizjoterapii, przerwał je – nie ukrywam, że szkoda, całkowicie pochłonęła go praca w Świeradowie Zdroju.

Jana Kałuża: Zamiast handlowcem postanowił Pan zostać masażystą. Skąd taka zmiana?.

Krzysztof Kotala: Do Policealnego Studium Masażu w Legnicy poszedłem z ciekawości. Wykłady były interesujące, moim ulubionym przedmiotem była „Teoria masażu „ gdzie poznawałem szkoły i zasady wykonywania masażu, kliniczne przypadki… Wykładowcami byli magistrowie fizjoterapii.. Tak naprawdę przekonałem się, że chcę zostać masażystą w szpitalu złotoryjskim na praktykach, to było wyzwanie. Uwierzyć w siebie pomogły mi dwie osoby. Ich wiedza i praktyczne uwagi były cenne. Pani Grażyna Sz. jest świetną nauczycielką zawodu. W teorii wzmacniał mnie pan Tadeusz O. Usłyszałem pewnego dnia od swojej nauczycielki -masujesz tak samo jak ja –jakże byłem dumny! To dodało mi skrzydeł. Pani Grażynka pokazywała mi techniki, nowe elementy, których nie znałem, a które mogłem wdrożyć w wykonywany przez siebie masaż.. Zdarzył się ciekawy przypadek. Kiedyś przywieziono na masaż pacjenta na wózku, rozpoznanie brzmiało: dyskopatia. Miał zalecone 10 zabiegów. Zostały jeszcze trzy zabiegi. Oczekiwałem pana pochylonego na balkoniku, ale zjawił się jakby ktoś inny - wyprostowany mężczyzna. Przeprosiłem go mówiąc - czekam na pac jęta umówionego. Na to on odpowiedział - to ja, panie Krzysztofie. To była moc masaża u. Prawdziwą szkołą zawodu była praca w sanatorium w Świeradowie Zdroju; masowaliśmy jak w akordzie, po 10 godzin. Bolały mnie ręce, kręgosłup, nogi- do chwili przyzwyczajenia, Potem pracowało się lżej. Robiłem ok.30 zabiegów dziennie nie licząc prywatnych po godzinach pracy., To było nie lada doświadczenie.

J.K.:, ·Kiedy postanowił Pan wrócić do Złotoryi?

K.K.: Skończył się sezon sanatoryjny zapotrzebowanie na masażystów zmalało, musiałem coś ze swoim życiem zrobić. Zdecydowałem się na poważny krok. Urząd Pracy umożliwił mi otwarcie indywidualnej praktyki. W Przychodni Rejonowej, w pokoju 52 otworzyłem gabinet masażu, a za środki pieniężne wyposażyłem pomieszczenie. Funkcjonuje już cztery miesiące

J.K.: Dużo młodzieży wyjechało za granicę w pogoni za ciekawszym i bogatszym życiem, nie pomyślał Pan o praktyce za granicą?

K.K.: Lubię moje miasteczko i nie mam zamiaru wyjeżdżać za granicę. Zdaję sobie sprawę, że tam bym więcej zarobił, ale czy życie polega na tym, żeby gonić za pieniądzem?!. Tu jest moja mała ojczyzna i póki co, tu chcę pracować, oddychać złotoryjskim powietrzem. Złotoryja ma swój klimat, piękne dziewczyny i czegóż więcej chcieć.

Interesowało mnie wszystko na temat masażu, więc zadawałam pytania każdego dnia.

J. K.: Przyczyną wielu chorób jest stres, nie radzimy sobie z nim, proszę podpowiedzieć sposób na odreagowanie.

K. K.: Już od dawna wiadomo, że dotyk leczy, działa uspokajająco, przykładem jest matka, która tuli swe dziecko, a ono w jej ramionach się uspokaja. Umiejętność radzenia sobie ze stresem jest bardzo cenna. W kolejkach do lekarza stoją pacjenci z dolegliwościami, związanymi ze stresem, takimi jak: ból kręgosłupa, głowy, oczu, szyi. Są zirytowani, znerwicowani wyczerpani, mają słabą koncentrację. Jest bardzo dużo szkół masażu, aby je poznać, trzeba dużo czasu i kursów.

Masaż relaksacyjny, jak sama nazwa wskazuje, jest dobrą metodą na odreagowanie stresu. A konkretnie równoważy wysyłane przez ciało negatywne reakcje na stres, likwiduje mimowolne napięcie mięśni, poprawia pracę: serca, układu krążenia, wyrównuje ciśnienie krwi, pomaga w walce z bezsennością. Do masażu używam pachnących olejków, np. winogronowego, z dziurawca, limonowego, każdy z nich ma swoje działanie. Kadzidełka, świece, zapachy, łagodne ruchy mają ukoić ciało i duszę

J.K.: To musi być bardzo przyjemne. Masaż klasyczny to często powtarzane przez Pana słowa, komu można go polecić?

K.K.: Jest najbardziej popularnym masażem, może być leczniczy, pobudzający jak i relaksacyjny, Jednak wszystko zależy od intensywności, od formy. Poprawia stan psychofizyczny pacjenta. Mogę polecić go pacjentom z chorobami neurologicznymi, ortopedycznymi, internistycznymi, ginekologicznymi, pediatrycznymi.

Masaż może być poprzedzony zabiegami fizykalnymi, jak: okłady rozgrzewające lub z użyciem środków wspomagających, działających przeciwzapalnie, przeciwbólowo, rozgrzewająco.

J.K.: Mniemam, że sportowcy są inaczej masowani niż ja?

Akupresura jest też dotykiem, czy pan ją stosuje?

K.K.: To plany na niedaleką przyszłość.

Interesuje mnie akupresura, to masaż punktowy, udrażniający kanały energetyczne poprzez różne formy ucisku. Można wykonywać ją leczniczo albo profilaktycznie. Ale trzeba posiadać uprawnienia.

J.K.: W naszym mieście jest dużo pań odchudzających się, stosują drakońskie diety, może jest coś alternatywnego dla nich?

K.K.: Ma pani na myśli masaż odchudzający? Sam masaż cudów nie zdziała, należy między masażami wykonywać ćwiczenia i stosować odpowiednią dietę. Jest trochę bolesny. Polega na rozbijaniu i rozdrobnieniu podskórnej tkanki tłuszczowej, polepsza ukrwienie, usuwa toksyny z organizmu, przyspiesza przemianę materii czasami jest nieprzyjemny, ponieważ powłoki brzuszne masujemy z dużą siłą a towarzyszy temu ból. Używane kremy roślinne, likwidują tkankę tłuszczową, ułatwiają usuwanie wody i toksyn z organizmu.

J.K.: Słyszałam o masażu Tybetańskim i drenażu limfatycznym. Jeśli lekarz zaleci pacjentowi, jako pomocniczą terapię, czy Pan ją wykona?.

K.K.: Nie widzę problemu, drenaż limfatyczny stosowany jest po przebytych chorobach zakaźnych, nowotworowych, po terapii sterydowej. Likwiduje obrzęki zastoinowe, wysięki limfatyczne, skraca czas wchłaniania się siniaków i krwiaków. Działa oczyszczająco na cały organizm, usuwa zbędne produkty przemiany materii. A jako ciekawostkę dodam, że… wspomaga odchudzanie. Teraz opowiem o masażu Tybetańskim Kum-Nee Początek Medycyny Tybetańskiej datuje się na 500 lat p.n.e. A jej skuteczność spowodowała, że Tybet nazywany jest "krainą medycyny". Przez Tybetańczyków organizm ludzki (w przeciwieństwie do medycyny akademickiej) jest traktowany, jako całość - niedomaganie jednego narządu rzutuje na funkcjonowanie drugiego. Lekarz tybetański postrzega zdrowie, jako problem równowagi, która przez nasz sposób życia mogłaby zastać zachwiana. To jak żyjemy, i w jakim stylu, nie jest obojętne, ponieważ wiele czynników takich jak: dieta, warunki klimatyczne i pogodowe, stan ducha i umysłu, predyspozycje genetyczne, mogą mieć dobroczynny lub wyniszczający wpływ na stan zdrowia.

Masaż tybetański Kum-Nee pochodzi ze starożytnych nauk buddyjskich i jest połączeniem klasycznego masażu leczniczego, refleksoterapii oraz bioterapii. Jest niezwykle skuteczny. Lekarz tybetański przed przystąpieniem do zabiegu odprawia rytuał oczyszczania pacjenta oraz wprowadza go za pomocą odpowiednich mantr i medytacji w stan wyciszenia, co sprzyja dalszej terapii. Dzieje się tak niezależnie od tego, czy masaż dotyczy całego ciała czy tylko jego części.

W masażu używa się olejków ziołowych, które są produkowane przez mnichów tybetańskich w himalajskim Instytucie Men Tse Kang, jak również leczniczego działania dźwięku poprzez wibracje tybetańskich mis, wajr i dzwonków. To masaż niemal bezdotykowy, lecz jego działanie jest bardzo silne, szczególnie stosuje się go u osób ciężko chorych, najlepiej po konsultacji z lekarzem. Działa skutecznie na układ krążenia, reguluje ciśnienie, dotlenia mózg, wspomaga leczenie schorzeń układu ruchu, oczyszcza z toksyn, łagodzi nerwobóle. Terapia ta łagodzi ból, otwierając jednocześnie niedrożne kanały ułatwiając przepływ energii w organizmie. U osób zdrowych masaż tybetański poprawia koordynację i samopoczucie, harmonizuje energię i pobudza umysł oraz ciało do pozytywnych przemian. Jedynym minusem tego sposobu są towarzyszące mu nieprzyjemne objawy. Tuż po pierwszych zabiegach trzeba liczyć się z nieprzyjemnymi efektami ubocznymi jak biegunka, nudności, wymioty czy bóle żołądka. Złemu samopoczuciu bardzo często towarzyszy gorączka i bóle różnych części ciała. Objawy te jednak nie powinny budzić niepokoju, ponieważ są sygnałem, że organizm zaczął się oczyszczać, a przeróżne bóle to dowód, iż właśnie w tym miejscu znajdowały się blokady energetyczne, odpowiedzialne za nasze dolegliwości.

J.K.: W jakim wieku są pacjenci, których Pan masuje?

K.K.: Po dwudziestu latach pracy przy biurku, za kierownicą, przy biernym trybie życia organizm ludzki jest nadwyrężony, mięśnie są napięte, stres i depresja idą w parze, dyskopatie i zwyrodnienia nękają kościec ludzki i to jest pierwszy sygnał do masażu. Reasumując: średnia wieku moich pacjentów to 40-50 lat

J.K.: Kto decyduje o ilości zabiegów?

K.K.: Na pierwszej wizycie wiem, czy będę pacjenta masował, czy nie, są przypadki, które nadają się tylko do leczenia farmakologicznego lub potrzebują ingerencji ortopedycznej, mówię otwarcie, że nie będę masował. Pacjent decyduje o ilości zabiegów. Ja tylko doradzam. To tak, jak z iniekcjami, czasami 5 zastrzyków wystarczy, aby pokonać stan zapalny, a czasami 10. Serię masaży proponuję powtórzyć po trzech miesiącach.

J.K.: Ile kosztuje jeden masaż?

K.K.: Założyłem, że pół godziny masażu kosztuje 25 PLN, jednak, gdy widzę potrzebę, masuję dłużej. Wykonuję masaż w domu na telefon w cenie 35 PLN za 30 minut.

J.K.: Czy wychodzi Pan na swoje?

K.K.: Jeszcze nie. Mam nadzieję, że to się zmieni, na razie pomagają mi rodzice. Wynajem lokalu, oliwki, maści, zapachy, podkłady jednorazowe, pochłaniają sporo pieniędzy, ale nie ma co narzekać, nikt nie mówił, że będzie łatwo. Ja jestem cierpliwy.

J.K.:, Jaki musi być masażysta?

K.K.: Masażysta musi być dobrym obserwatorem, po strukturze mięśnia musi zlokalizować stan zapalny, bez potrzeby nie powinien zadawać bólu i dobrze znać swoje rzemiosło. W tej dziedzinie cały czas trzeba zdobywać umiejętności. W maju tego roku wybieram się do Warszawy, aby zdobyć kolejny certyfikat.

J.K.: Jaka jest specjalna Pana oferta?

K.K.: Masaż w domu klienta dla osób zapracowanych. Nie wszyscy mają czas wybrać się do gabinetu, nadmiar

obowiązków domowych, małe dziecko w domu, chory niewstający z łóżka, to tylko niektóre przyczyny. Każdej z tych osób przydałby się masaż. Niejedna matka karmiąca narzeka na ból pleców. Dlaczego nie miałaby skorzystać z mojej oferty?. Drugą ofertę kieruję do pracodawców, którym zdrowie pracowników leży na sercu. Masaż, który wykonam na terenie firmy, wymaga tylko gabinetu, nie dezorganizuje pracy, trwa 20-30 minut. Jaka z tego jest korzyść?. Po takim masażu pracownik jest bardziej skoncentrowany a poprawa samopoczucia pozwala na lepsze funkcjonowanie w życiu zawodowym i prywatnym

J.K.: Ma Pan tak dużo zapału. Życzę powodzenia, jednocześnie dziękuję za masaż, który wyrwał mnie ze szponów bólu.

Jana Kałuża

Leszczyna odkryta

Moje nowe miejsce na Ziemi z lotu ptaka - fot. G. Baran

Złotoryja i jej najbliższe okolice zawsze wydawały mi się mało interesujące. W czasie studiów i pracy zawodowej zjeździłem prawie cały Dolny Śląsk, bywałem w miastach, miasteczkach, wsiach i przysiółkach, wszędzie tam, gdzie człowiek pozostawił jakikolwiek historyczny ślad swojej materialnej kultury. Podziwiałem kościoły, kaplice,, klasztory, zamki, pałace, dwory i inne ślady dziedzictwa kulturowego tej ziemi. Przejeżdżałem wielokrotnie przez Ziemię Złotoryjską i rejon ten kojarzył mi się tylko z kopalniami kruszywa, głośnymi młynami kamienia, zapyloną zielenią drzew i krzewów, oraz zaniedbanymi obiektami poprzemysłowymi. W roku 2003 postanowiłem dokonać radykalnej zmiany w swoim dotychczasowym życiu- zdecydowałem się osiąść na wsi, w bliżej nieokreślonej ale sielskiej okolicy, gdzie znajdę „święty spokój", gdzie odpocznę od miejskiego zgiełku i „wyścigu szczurów".

Pewnego dnia znajoma zajmująca się zawodowo pośrednictwem handlu nieruchomościami, zaprosiła mnie na małą wycieczkę w rejon słabo mi znany, o dumnej nazwie Krajobrazowy Park Chełmy. Jechaliśmy dziwną trasą przez Kondratów, Pomocne, Stanisławów, gdzie doznałem pierwszego miłego zaskoczenia napawając się wspaniałym widokiem, jaki roztacza się ze wzgórza Rosocha. Ziemia Złotoryjska, Legnicka, Jaworska jak na dłoni! Był koniec października – złota polska jesień – to robiło wrażenie!

Po 5 minutach jazdy polnymi drogami dojechaliśmy do małej wioski, ukrytej między malowniczymi pagórkami, porośniętymi lasem mieszanym. Wkrótce byliśmy na miejscu . Kilka zaniedbanych budynków o charakterze przemysłowym, basen przeciwpożarowy, odpychające sterty śmieci i gruzów, a jednocześnie niezwykle urokliwa okolica, grająca złotem, czerwienią i brązami jesieni. Decyzję z żoną podjęliśmy błyskawicznie – tu chcemy zamieszkać! W postanowieniu utwierdziło nas jeszcze jedno odkrycie: na terenie posesji odkryliśmy sztolnię górniczą. Co to za miejsce ? Co tu było ? Wtedy to po raz pierwszy w życiu usłyszałem nazwę - Leszczyna!

Jeszcze tego samego dnia zacząłem intensywnie wertować różne książki z mojej małej podręcznej biblioteki, poszukując informacji na temat historii mojego nowego miejsca na ziemi. Bogactwo i różnorodność wiadomości dotyczących Leszczyny, wzbogacone z czasem o nowe źródła, a po naszej przeprowadzce, uzupełnione o obserwacje terenowe, sprawiły, że z niebytu zaczął wyłaniać się obraz miejsca nie tylko urokliwego, ale również bogatego w historię, często tajemniczą.

Z otchłani wieków

Niemieckie badania archeologiczne z przełomu XIX i XX w. ustaliły wczesnośredniowieczne początki osadnictwa w niecce Leszczyny. Nieco później, już jako prywatny majątek rycerski, Leszczyna przechodziła z rąk do rąk znamienitych rodów śląskich, od pierwszego notowanego w źródłach Nickela Pradela (ok.1400r.),aż po barona Ulricha von Richthofena z Sichowa, który był ostatnim właścicielem do roku 1945. Wieś przeżywała na przestrzeni wieków chwile wzlotów i upadków. Katastrofalny w skutkach był najazd Mongołów w 1241r, wojna 30-letnia (1618-1648) czy wojna prusko-austriacka 1759r. W wyniku tych wydarzeń osada się wyludniała, a opuszczone domostwa ulegały zniszczeniu. Oczywiście ostatnia wojna światowa była przyczyną fundamentalnych zmian w dziejach Leszczyny .

Jednakże historia Leszczyny przez wieki była związana z miedzionośnymi marglami, dzięki którym wieś przeżywała swe najlepsze chwile. Górnictwo tutaj rozwijało się już w średniowieczu. Być może już na początku XIII w. drążono w zboczu Dużego Młynnika pierwszą sztolnię. Późniejsze próby wydobywania rudy miedzi są słabo udokumentowane.

Dopiero XVIII w. zaczyna obfitować w różne działania górnicze i hutnicze. Właśnie w 1725 roku hutnik Christoph Reynig uzyskał z miejscowej rudy 2.5t tzw. kamienia miedziowego. Dalszy rozwój wydobycia związany był z działającym w Górach Kaczawskich Adamem Samuelem Jagwitzem , ale faktyczny rozwój górnictwa i hutnictwa nastąpił dopiero w 1736r, kiedy to nowy właściciel Leszczyny, baron Otto Gottlob von Hoberg (Hochberg) uruchomił dawną sztolnię-„Charakterstolle" i zbudował nową -„Hasel". Powstała nowa płuczka, a także huta .Wkrótce jednak, ze względu na małą opłacalność przedsięwzięcia, zawieszono działalność wydobywczą. W tym samym czasie właściciele Leszczyny uruchamiali też kamieniołom i budowali piece wapienne. Wieś przeżywała okres gwałtownego rozwoju. W 1742 roku uruchomiono szkołę i karczmę sądową .

Najbardziej znana wizytówka Leszczyny – bliźniacze piece wapiennicze z 1872 roku - fot. R. Krakowczak

Zniszczenia wojen śląskich i kwaterunek wojsk rosyjskich w 1761r. zatrzymały rozwój osady i doprowadziły do znacznego jej wyludnienia. Jednakże już w 1774 ponownie podjęto próby eksploatacji złóż miedzionośnych, ale bez powodzenia. Wydobycie z przerwami trwało do 1807 , jednak koszty uzyskania miedzi metodami tradycyjnymi okazały się ciągle za wysokie, co doprowadziło w rezultacie do zamknięcia kopalni. Wraz z ruchem górniczym zmienia się struktura społeczna wsi. Obok kmieci, zagrodników i chałupników wieś zamieszkują rzemieślnicy i tzw. wolni ludzie- najprawdopodobniej górnicy. W roku 1789 osada liczy 254 mieszkańców. Wojny napoleońskie zahamowały rozwój Leszczyny .

Na ponad pół wieku zapomniano o miedzianym skarbie, a mimo to wieś w I połowie XIX w. zaczyna rozwijać się dynamicznie, głównie dzięki przemysłowi . W roku 1825 (właścicielem jest nadal baron von Hochberg) w Leszczynie było 57 domów, szkoła ewangelicka, młyn wodny i dwa wapienniki. Już 15 lat później stały już 73 domy, w folwarku trzymano 600 owiec, był 2-kołowy młyn wodny, 2 gospody, wapienniki z 3 piecami i kamieniołom kamieni szlifierskich, a miejscowość zamieszkiwało 405 mieszkańców .

Około 1860 roku jaworskie gwarectwo Haaseler Bergbau und Kupferhütte założyło w Leszczynie kopalnię „Stilles Gluck " (Ciche Szczęście) i wykorzystując także stare sztolnie , zaczyna systematyczne wydobycie rudy miedzi . W miejscowej hucie, gdzie urobek zostaje poddany wstępnej obróbce (na tzw. kamień miedziowy), instaluje się maszynę parową (1866 r.) i nowoczesne piece chłodzone wodą . Wydobycie trwało 20 lat, kiedy ze względu na spadek cen miedzi działalność ta stała się nierentowna.

Systematyczna eksploatacja ma miejsce dopiero w latach 30-tych XX w., gdy wrocławska spółka Berg und Hutten Allegemeine Gesellschaft (BuHAG) rozpoczęła regularne wydobycie rudy miedzi, które prowadziła do końca 1944 roku, kiedy to kopalnię zatopiono. W okresie międzywojennym liczba mieszkańców wzrosła gwałtownie w roku 1938, co należy łączyć z ponownym rozpoczęciem działalności górniczej, wyniosła 336 mieszkańców. Przez następne lata – już wojenne – wzrosła do 368 zamieszkujących 74 budynki. Wśród mieszkańców wsi pojawił się człowiek niezwykły – Will Erich Peuckert. Etnolog i historyk duchowości, autor wielu dramatów, powieści, noweli i prac naukowych, miłośnik mitów i kultury Śląska. Zamieszkał w Leszczynie po 1933 roku. Wtedy to, nie akceptując władz nazistowskich, pozbawiony praw do wykonywania zawodu i zesłany na prowincję w niebyt, wybrał malownicze okolice Złotoryi, wybudował dom i nadal pracował naukowo . Kończyła się pewna epoka w dziejach Śląska i dobiegały końca leszczyńskie lata życia Peuckerta. Tak wspominał po latach dramatyczne wydarzenia z początku 1945 roku: „Nie chcę już nic więcej opowiadać o tych miesiącach, o tych latach. Coraz trudniej było się śmiać, a już szczególnie wtedy, gdy zimą 12 lutego 1945 roku musieliśmy uciekać przed Rosjanami, wkraczającymi do Złotoryi i Wilkowa, i przed bitwą, która miała się stoczyć o pierwsze szczyty naszego przedgórza. Miejscowość Trupień, położona w lesie na południe od Leszczyny, była szturmowana 7-krotnie; część starszych ludzi spłonęła w stodołach , inni zginęli przed górami, a my, moja żona i ja, przebiliśmy się wtedy do lasu, każde z jednym plecakiem, a w plecakach tkwił cały nasz dobytek: chleb, reszta pieczeni świątecznej i nędzny tłumoczek bielizny; za nami zostało wszystko: dom, gospodarstwo, meble i 15 tysięcy książek i manuskryptów ."

Nowa epoka

Po zakończeniu działań wojennych część mieszkańców wróciła do Leszczyny. Lecz w ciągu 1946 i 1947 roku wszyscy wyjechali na zachód. We wsi zaczęli pojawiać się nowi mieszkańcy, przybysze ze wschodu, też wypędzeni z własnych ojcowizn lub pochodzący z terenów zniszczonych w wyniku działań wojennych. Zaczynała się nowa epoka w dziejach Ziemi Złotoryjskiej. Polscy osadnicy zajmowali opuszczone domostwa w Leszczynie. Nie dochodziło do żadnych zatargów ze starymi mieszkańcami wsi. Przez dwa lata Niemcy i Polacy żyli wspólnie, w pełnej symbiozie. Jeszcze w 1945 roku wybrano pierwszego polskiego sołtysa – został nim Antoni Pawliszyn. W roku 1947 ostatni niemiecki mieszkaniec wsi wyjechał na zachód. W tym kontekście symbolicznym wydaje się budowa kaplicy w środku osady. Powstała ona w czynie społecznym osadników polskich na miejscu dawnego pomnika ku czci poległych leszczynian w I wojnie światowej, a masywna kamienna płyta z nazwiskami została wykorzystana jako cokół pod nowo budowaną kaplicę. Obiekt poświęcono w listopadzie 1947 roku i stał się ważnym i jedynym miejscem kultu dla wsi pozbawionej budynku kościoła .

Początkowo wieś była wyłącznie rolnicza, lecz po odwodnieniu kopalni, w 1950 roku ZG Lena uruchomiła ponownie wydobycie rudy miedzi. Wielu mieszkańców Leszczyny znalazło tam zatrudnienie. Ponownie, jak wielokrotnie w historii, istnieje związek między liczbą mieszkańców osady a rozwojem przemysłu w rejonie. Wieś się zaludniła, a w 1951 roku otworzono 2-klasową szkołę, której działalność wspierało aktywnie grono rodziców. Powstało też Koło Gospodyń Wiejskich, które rozprowadzało kurczęta i pasze, a także organizowało imprezy cykliczne jak Dożynki czy Dzień Kobiet. Po roku 1960 odkryto nowe pokłady miedzionośne w rejonie Lubina i Polkowic . Nastąpiło powolne ograniczanie produkcji w Lenie, aż do zupełnego zamknięcia zakładu 1 stycznia 1974 roku .

Jest to koniec górnictwa w tzw. starym zagłębiu miedziowym . Było to bolesne wydarzenie dla całego rejonu, wielu mieszkańców traci pracę , a wkrótce zlikwidowano szkołę. Wieś zaczęła podupadać, wiele domów rozebrano, a mimo upływu lat (35), pamięć o lepszych czasach do dziś jest żywa wśród starszych mieszkańców wsi .

Dzień dzisiejszy

Leszczyna, którą odkryłem, to mała wieś licząca 42 budynki, pochodzące głównie z końca XIX w. i początków XX w., o niewątpliwych walorach kulturowych. Mieszka tu zaledwie 165 osób. Wielu ludzi starszych – emerytów i rencistów – młodsi pracujący w Złotoryi, Legnicy i Jaworze, paru przedsiębiorców i zaledwie kilku żyjących z rolnictwa – wszyscy uprzejmi i uśmiechnięci. Niestety, jak wszędzie jest też wielu, którzy muszą korzystać z pomocy społecznej. Pojawia się też grupa ludzi o wyższym statusie społecznym, którzy doceniając walory położenia wsi, budują w górnej części osady nowe osiedle domów. Doceniają fakt, że dzięki zaradności władz gminy, wieś jest skanalizowana, ma wodociąg, a główna ulica jest oświetlona.

Zalety krajobrazowe i położenie na obrzeżu Parku Krajobrazowego Chełmy sprawiają, że Leszczyna może stać się masowo odwiedzaną atrakcją turystyczną. Szlaki turystyczne krzyżujące się we wsi, dydaktyczna ścieżka przyrodniczo-kulturowa „Synkliny Leszczyny" czy wreszcie słynna już cykliczna impreza „Dymarki Kaczawskie", organizowana przez Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych , to dobry krok w stronę uatrakcyjnienia tego rejonu. Plany stworzenia średniowiecznego skansenu górniczo-hutniczego z obiektem hotelowo-restauracyjno-ekspozycyjnym też robią wrażenie. Szkoda tylko, że to wszystko odbywa się bez zaangażowania mieszkańców Leszczyny. W dniu dzisiejszym wieś musi postawić już nie na miedź, a na turystykę. Wynajem pokojów, agroturystyka, zaplecze gastronomiczne, pole namiotowe, wiejskie jaja, miód, mleko i swojski chleb mogą być świetnym źródłem dochodów dla leszczynian .

Przy takich walorach krajobrazowo-przyrodniczych moja Leszczyna może się stać przysłowiowym rajem na ziemi.

Opracował Jacek Grabowski

Walory krajobrazowo-przyrodnicze Leszczyny - fot. R. Krakowczyk

Walory krajobrazowo-przyrodnicze Leszczyny - fot. R. Krakowczyk

Spod skrzydeł „Agatu”

WSPÓLNOTA MIESZKANIOWA 18b Nad Zalewem

Poczucie, że Spółdzielnia Mieszkaniowa „Agat” podejmuje niekiedy kontrowersyjne decyzje, nie za bardzo konsultując je z mieszkańcami swoich budynków, pojawiało się zapewne już od dłuższego czasu. „Klienci” spółdzielni z rezygnacją stwierdzali – i może nadal w większości tak sądzą – że takiej dużej struktury nie da się ani kontrolować, rozliczać z wydawania pieniędzy ani np. ograniczać wydatki na jej administrację. Biernie przyjmowano więc kolejne decyzje o podwyżkach czynszów (nawet zdając sobie sprawę, że wynikają one nie tylko z decyzji władz „Agatu”), kosztach ociepleń, które okazywały się wyższe niż obiecywano itd. Ten marazm odzwierciedlała niska frekwencja na zebraniach spółdzielców, którzy nie czuli jakoś żadnych wspólnych interesów. Zresztą byli tylko lokatorami a nie właścicielami ani mieszkań i gruntu. Niektórzy, traktując taki twór jako przeżytek „komuny”, czekali na jakieś odgórne rozwiązania własnościowe. Administracja spółdzielni była pewna, że nikt nie ośmieli się zmienić istniejącej przecież od dziesiątków lat sytuacji i żyła w poczuciu niezagrożonego monopolu.

Poprawka w ustawie o spółdzielniach mieszkaniowych z 2007 r. przyspieszyła jednak przekształcanie mieszkań w zupełnie odrębne własności i dała możliwość ich właścicielom odłączenia się od spółdzielni, gdy większość mieszkańców nieruchomości uzyska takie właśnie odrębne prawo własności (a dokładniej mówiąc, gdy większość właścicieli, licząc udziałami, podejmie uchwałę, że w zakresie ich praw i obowiązków oraz zarządu nieruchomością wspólną będzie decydowała ustawa o własności lokali). Wówczas wspólnota może wybrać innego zarządcę niż spółdzielnia. Ona sama, jeśli wciąż w nieruchomości pozostają mieszkania nie wykupione, pozostaje nadal częścią wspólnoty, choć znajduje się w mniejszości.

Jesienią 2007 r. kilku mieszkańców budynku nr 18 przy ul. Nad Zalewem zauważyło, że w wyniku przekształceń własnościowych w ich budynku, oraz w dwóch innych przylegających do niego (ul. Nad Zalewem 20 i Bystryckiej 4 a i b, w sumie 65 lokali mieszkalnych i użytkowych) właściciele mieszkań dysponują już ponad 60 procentami udziałów w częściach wspólnych. Przeanalizowano także stawki za zarządzanie mieszkaniami, oferowane przez innych zarządców. W lutym 2008 r. złożony został wniosek o zwołanie zebrania w tej sprawie, w kwietniu i maju 2008 r. wspólnota podjęła pierwsze uchwały. Postanowiła najpierw uchwalić niższe, w stosunku do spółdzielni, opłaty eksploatacyjne i na wynagrodzenie zarządcy. Jednocześnie zrezygnowała z zarządu spółdzielni mieszkaniowej a jako nowy, wybrała Rejonowe Przedsiębiorstwo Komunalne, które zgodziło się na zaproponowane stawki. Do wybranego zarządu wspólnoty weszli: Jan Sajewicz, Wiesława Babiak i Renata Piotrowska.

W sprawie nowego zarządcy oraz niższego czynszu (zmaleć miał od razu o 60 zł) szybko jednak sprawa się skomplikowała. Spółdzielnia nie zamierzała przekazać dokumentacji technicznej i ekonomicznej, uważając podjęte uchwały za nieważne, jedni mieszkańcy wpłacili mniejszy czynsz do RPK, inni- mniejszy lub dotychczasowy do spółdzielni. Wszystkie podejmowane wówczas działania miały charakter bezprecedensowy, zarząd nowej wspólnoty nie dysponował doświadczeniem a na współpracę ze strony „Agatu” liczyć nie mógł. Spółdzielnia od dawna miała „na pieńku” z Janem Sajewiczem, który nieraz ośmielał się krytykować sposób i styl zarządzania spółdzielczymi zasobami. Powstanie wspólnoty absolutnie nie leżało ze zrozumiałych względów w interesie spółdzielni.

W sierpniu 2008 r. spółdzielnia mieszkaniowa złożyła pozew w Sądzie Rejonowym w Złotoryi o uchylenie wszystkich uchwał wspólnoty, podjętych w kwietniu i maju. Sprawę rozpatrzył Sąd Okręgowy w Legnicy i w grudniu 2008 r. oddalił powództwo, jako złożone po terminie, a kosztami postępowania w kwocie 1 600 zł obciążył stronę powodową.

Po wyroku sądowym zarząd wspólnoty uznał, że spółdzielnia rozliczyć się powinna ze wspólnotą według jej uchwał z kwietnia 2008 r. Spółdzielnia natomiast rozliczyła opłatę eksploatacyjną dla wspólnoty średnią stawką, jaką obliczono w spółdzielni za rok 2008. Według zarządu wspólnoty, jest to całkowicie niezgodne z ustawą o własności lokali oraz ustawą o spółdzielniach mieszkaniowych. W każdym razie z końcem kwietnia, dokumentacja wspólnoty zostanie przekazana RPK i tam będą wpływać już nieco niższe czynsze członków wspólnoty.

Ciekawe zdarzenie miało miejsce 24. lutego 2009 r. (spółdzielnia mieszkaniowa twierdzi, że nie ma z nim nic wspólnego). Na klatkach schodowych wspólnoty pojawili się pracownicy energetyki i rozpoczęli zdejmowanie liczników, odcinając prąd na korytarzach i w piwnicach (zdążyli to zrobić na szczęście na jednej tylko klatce schodowej). Tłumaczyli, że jest to następstwem wypowiedzenia na koniec stycznia stosownych umów przez spółdzielnię. Po interwencji Jana Sajewicza i Wiesławy Babiak, którzy nie tylko zdecydowanie zabronili demontażu urządzeń, co stwarzało stan zagrożenia życia i zdrowia, oraz nie pozwolili na wkroczenie na teren wspólnoty pracownikom oraz policjantom, zaniechano dalszych działań i następnego dnia zawieszono z powrotem zdemontowany licznik.

31. marca b.r., na zebraniu wspólnoty, nie przyjęto sprawozdań przygotowanych przez spółdzielnię i nie udzielono jej absolutorium. Wyjaśniono równocześnie niektóre kwestie, związane z rozliczeniami i płaceniem czynszu (do końca kwietnia mieszkańcy wspólnoty regulują go w spółdzielni). Zarząd wspólnoty otrzymał absolutorium.

Ze swoją wspólnotą wiążą jej członkowie różnorodne nadzieje. Spodziewają się realnego wpływu na losy nieruchomości i każdy wydawany grosz, racjonalnego zarządzania, obniżenia kosztów remontów, poprawy stanu technicznego posesji. Wszyscy zdają sobie sprawę, że nie jest to takie proste. Jest to w kraju zapewne jedna z pierwszych wspólnot, która odłączyła się od spółdzielni mieszkaniowej. To zarazem największa wspólnota mieszkaniowa w mieście (ponad 4080 m^2 powierzchni użytkowej). „Raczkowania” wspólnocie nie zamierza ułatwiać spółdzielnia mieszkaniowa, której tylko, jak twierdzi, chodzi o interes lokatorów 22 mieszkań, które jeszcze pozostają w jej gestii. Występuje tutaj przecież kolosalny konflikt interesów. Ogromny kredyt zaufania otrzymał zarząd wspólnoty – jego członkowie liczą na poparcie i pomoc, a także na większą frekwencję na zebraniach. Wspólnota wierzy, że w jej ślady odważą się pójść inni spółdzielcy. Jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale…

Roman Gorzkowski

Czwartkowy wieczór z Romualdem Napiórkowskim

Siedziba TMZZ wypełnia się zaproszonymi gośćmi. Wystawa grafik przygotowana przy współpracy Anny Chrzanowskiej i Józefa Banaszka czeka na oglądających. W mojej ocenie grafiki Romualda Napiórkowskiego nie ustępują grafikom znanego złotoryjskiego malarza. Podobnie cechuje je wprawna ręka i dokładność, której towarzyszy mnogość szczegółów. Dla tych, którzy malują, pewnie jest to podstawowa umiejętność, ale ja jestem pełna podziwu. Goście dopisali, miejsca siedzące są zajęte a i stojących zaczyna brakować.

Prezes Aleksander Borys wita gości i wspomina, że edukacja młodzieży jest trudna, ale TMZZ próbuje w części sprostać temu zadaniu, a spotkanie z historią w odczytach, czy też w rysunku stwarza taką okazję.

Romuald Napiórkowski w towarzystwie Romana Gorzkowskiego

Roman Gorzkowski używa trafnego porównania, zaczerpniętego z Ewangelii św. Mateusza o talentach - każdy otrzymuje talent, jedni trochę więcej, drudzy mniej, jednak nie chodzi o ilość , istotą jest, co z tymi talentami zrobimy. Ta przypowieść jak ulał pasuje do naszych gości, pan Romuald Napiórkowski otrzymał ich niemało i nie zakopał żadnego, rozwija je przez ok.80 lat. Na

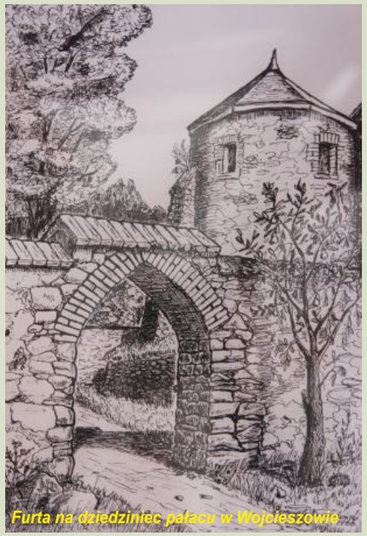

Furta na dziedziniec pałacu w Wojcieszowie

Ziemię Złotoryjską przybył z Suwałk aby osiąść w pięknym Wojcieszowie. Dokumentuje przeszłość i teraźniejszość, architekturę, obiekty, których już nie ma, pejzaże, para się karykaturą, wykonuje exlibrisy i pisze fraszki. To wszystko można zobaczyć i przeczytać na wystawie.

Zastanawiam się, co trudniej narysować: pejzaż czy karykaturę. Pejzażem nikogo nie można urazić,

Dom Łużycki w Podgórkach

natomiast karykaturą?- zapytał Roman Gorzkowski.

Oglądając wystawę dochodzi się do wniosku, że pan Romuald robi to wprawnie i humorystycznie. Grafik ma jeszcze wiele do wykonania, obecnie kończy rysunek kamienicy świerzawskiej rozpoczęty 10 lat temu, przygotowuje rysunki do książki „O Wilkołaku", czeka go wiele wystaw. Reasumując: twórczość pana Napiórkowskiego jest bardzo różnorodna, przebogata w formie i treści.

Czwartkowy wieczór ma też niespodziankę. Spotkanie z grafikiem, obieżyświatem, nauczycielem, fraszkopisarzem i karykaturzystą, uświetnia muzyk, artysta grający utwory wielkich kompozytorów na gitarze klasycznej, na skrzypcach- prawdziwa uczta dla oka i ucha!

Roman Gorzkowski zapowiada artystę-Waldemara Zaborskiego. Jest to mieszkaniec Pielgrzymki. Odkrył swój talent i kształcił go we Wrocławiu i Krakowie. Gra na gitarze Paulino Bernabe, na gitarze dziesięciostrunowej, na skrzypcach. Koncertuje w Polsce i za granicą

Państwo Napiórkowscy

obdarowując słuchaczy perełkami muzyki lutniowej. Wydał już pięć płyt. Na koncertach gra serenady, polonezy, romanse i utwory kompozytorów takich jak J. S. Bach, Henrich Albert, J. Cardoso, J.Lennon i P. Mc Cartney, R. Rodgers, N. Rota, J. Mendel, F. Webster. W czwartkowym minirecitalu w TMZZ zagrał sześć utworów na gitarze. Akompaniowała mu siostra, Grażyna, grając na mandolinie. Wykonali wspólnie utwór Nina Roty „Ojciec Chrzestny" .i „Oczy czarne", którą to piosenkę śpiewała Wioletta Villas. Muzyka wydobywa się z instrumentów jak mgiełka, unosi się nad gośćmi, oglądającymi

Waldemar Zaborski wraz z siostrą Grażyną

grafiki. Ci, którzy w czwartkowy wieczór odwiedzili TMZZ, nie żałowali. Wystawa grafik wzbogacona dźwiękami muzyki tworzyła ciekawą kompozycję i była spotkaniem dwóch talentów.

swoje spostrzeżenia zanotowała Jana Kaluża
zdjęcia: Robert Pawłowski

Gratulujemy i dziękujemy!

W marcu 2009 r. złotoryjanin Krystian Kozłowski, którego pasją są przede wszystkim biegi przełajowe, reprezentował Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej we Wrocławiu w Crossie Między Mostami – dystans 12,3 km. Zajął 50 miejsce na 251 zawodników. Serdecznie gratulujemy i życzymy dalszych udanych startów, oczywiście nie tylko w barwach TMZZ!

Zapraszamy!

W czasie najbliższych Dni Złotoryi (22-31 maja) TMZZ zaprasza na:

u **Złotoryjskie zaułki** – I wystawa fotografii członków Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego, otwarcie 22 maja godz. 17.00, siedziba TMZZ

u **Z „Echem Złotoryi” odkrywamy tajemnice miasta** – wycieczka piesza, zbiórka 23 maja, godz. 10.00 przed Domen Nauczyciela „Bacalarus”

u **Jubileusze Złotoryi – 600-lecie, 700-lecie,...800-lecie** – odczyt Romana Gorzkowskiego, 25 maja godz. 17.00, siedziba TMZZ

u **Teraźniejszość i przyszłość Złotoryi** – dyskusja panelowa, 27 maja godz. 17.00, siedziba TMZZ

Wrastanie - Wzrastanie

Jak w ubiegłych latach, tak i teraz kilkanaście osób z TMZZ w dniu 2 kwietnia o godz. 21^{37} spotkało się na Ścieżce św. Jadwigi pomiędzy Kopaczem a Rokitnicą, przy drzewku, które nosi imię Jana Pawła II. Zapłonęły znicze i pod gwiaździste niebo popłynęły słowa „Barki” oraz nastrojowej organowej melodii w wykonaniu Marii Kałkus.

Przypomniano słowa Juliusza Słowackiego, przepowiadające przyjście polskiego papieża, ktoś z zebranych zauważył, że drzewko rośnie bardzo powoli, z trudem wrastając w Ziemię Złotoryjską. A może dzieje się tak z naszej winy, bo właśnie my zapomina my na co dzień żyć naukami Papieża i wartościa-mi, które głosił?

W Złotoryi przy Nad-leśnictwie rośnie dąb, wyrosły z nasion poświęco-nych przez Jana Pawła II, przy Ścieżce św. Jadwigi buk, miejsce naszych spotkań, a w Rzymówce dąb Jego imienia. Jan Paweł II jest także patronem złotoryjskiego Licem Ogólnokształcącego.

Roman Gorzkowski

Testament sprzed czterystu lat

Kto dzisiaj pisze testamenty? Jeżeli już się to robi, to umieszcza w nich zapisy dotyczące podziału majątku czyli, najogólniej biorąc, „kasy". Nic dziwnego, teraz to właśnie ona jest najważniejsza i tylko ten pozostanie w naszej dobrej pamięci, kto „sprawiedliwie" ją podzieli. Oby tylko zdążył przed śmiercią to uczynić!

W 2008 roku przeszła renowację jedna z empor w kościele Mariackim. Według słowników, emporą nazywamy rodzaj galerii, loży lub trybuny w kościołach, wzniesionej w celu powiększenia powierzchni dla uczestników nabożeństw lub wydzielenia przestrzeni dla pewnej grupy osób. W naszej największej świątyni zachowało się na szczęście kilka takich galerii, a nawet było ich jeszcze więcej. Wszystkie powstały w czasach, gdy kościołem zawiadywali protestanci, najstarsze prawdopodobnie w XVI wieku, większość w dwóch następnych stuleciach.

W nawie głównej widzimy emporę organową a pod nią emporę rady miejskiej i sędziów, w południowej nawie bocznej empory kowali, krawców i sukienników, w północnej nawie bocznej emporę ufundowaną niegdyś przez mieszkańców wsi Wilków. Najcenniejsze empory, z rozmaitymi obrazami, napisami oraz emblematami znajdują się w nawie poprzecznej, czyli transepcie. W jego południowym ramieniu, nad wejściem do kościoła, zlokalizowana jest empora szewców, a bliżej ołtarza tzw. empora Hochbergów. Z empor kościoła Mariackiego zapewne tylko jedna zmieniła swe położenie: do I wojny światowej empora szewców znajdowała się w prezbiterium. Odnawiając wtedy kościół, na szczęście nie zniszczono tej empory ale tylko przeniesiono w inne miejsce. W początkach XX wieku empory nie miały takiego znaczenia jak dawniej, stąd po przeprowadzce na emporę szewców nie doprowadzono schodów. Trzeba dodać, że po przekazaniu kościoła NNMP katolikom w 1959 r. konserwator zabytków z Wrocławia rozważał rozebranie empor i zdeponowanie ich fragmentów z obrazami w jakimś kościele lub muzeum. Szczęśliwie pomysłu tego nie zrealizowano.

Najładniejszą galerią jest tak zwana **empora mieszczańska**, zawieszona w północnym ramieniu transeptu, którą właśnie jak najbardziej słusznie zajęli się konserwatorzy w ubiegłym roku. Jej dzieje są bardzo ciekawe. Ufundował ją burmistrz miasta Johann Feige w **1609** r. a kronikarze zapisali, że pragnął w taki sposób uczcić pamięć wielu ofiar katastrofalnej powodzi w 1608 r. Z tej empory wchodziło się stromymi schodkami na jeszcze jedna emporę, którą rozebrano najprawdopodobniej dopiero po 1945 r. (patrz fotografia).

Na frontonie empory nieznany artysta namalował dziewięć barwnych obrazów o treści biblijnej, oprócz nich pojawiły się ważne napisy. Nie licząc powstania, trzy inne daty są dla tego zabytku najistotniejsze: **1828** – zamalowanie obrazów oraz napisów szarą farbą (tak postąpiono wówczas również z innymi wizerunkami i dekoracjami), **1915-1917** – odsłonięcie pierwotnej kolorystyki, inskrypcji, których treści nie znano, odnowienie filarów, **2008** – generalna renowacja malowideł oraz napisów.

Zidentyfikowaniu scen ze Starego i Nowego Testamentu pomagają łacińskie napisy: CREATOR (Stwórca; stworzenie świata), IVSTVS IVDEX (Sprawiedliwy Sędzia; potop), VERBUM CARO FACTVM (Słowo ciałem się stało; narodziny Chrystusa), IVSTITIA NOSTRA (Nasza sprawiedliwość; ukrzyżowanie), DVX VITAE (Książę życia; zmartwychwstanie), VIA VITAE (Droga życia; wniebowstąpienie), FONS VITAE (Źródło życia; chrzest Chrystusa), PANIS VITAE (Chleb życia; ostatnia wieczerza), RESVRRECTIO et VITA (Zmartwychwstanie i życie; sąd ostateczny).

Co nasza empora ma jednak wspólnego z testamentem? Nie popełnimy większego nadużycia, gdy za takowy uznamy słowa, jakie fundator polecił umieścić pod obrazami: VERA FIDES PIETAS PATIENTIA SPES SIBI RECTI CONSCIA MENS CANDOR PAX CYNOSVRA MEA EST – PRAWDZIWĄ WIARA, MIŁOŚĆ, CIERPLIWOŚĆ, NADZIEJA, UMYSŁ ŚWIADOMY SWOJEJ PRAWOŚCI, POKÓJ SĄ MOJĄ GWIAZDĄ PRZEWODNIĄ.

Testamenty nie muszą jedynie decydować o rzeczach materialnych. Może warto w nich zawrzeć

również przesłania innego charakteru, wskazywać na wartości i życiową mądrość? Spróbujmy zastanowić się czasem, czy stać nas na pozostawienie potomnym czegoś więcej niż pieniędzy.

Roman Gorzkowski

Wieża widokowa kościoła pod wezwaniem NNMP w Złotoryi

Wszystkim mieszkańcom Złotoryi zależy na uatrakcyjnieniu naszego miasta, szczególnie jeśli dotyczy to jego zabytków. Cieszy się też z tego Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, które od lat dokłada do tego dorobku kolejne cegiełki.

Na corocznym zebraniu sprawozdawczym TMZZ w dniu 11 lutego 2009 pojawiły się liczne głosy w sprawie udostępniania zwiedzającym wieży kościelnej i społecznego udziału w tym członków naszego towarzystwa. Przypuszczamy, że niejasność tę podziela więcej złotoryjan i dlatego postanowiliśmy przypomnieć istotne w tej kwestii fakty.

Wieża wraz z kościołem jest własnością parafii pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny.

Zasługą TMZZ jest zwrócenie uwagi na jej walory oraz uzyskanie pomocy ze strony zakładów pracy i licznych wolontariuszy, w tym młodzieży szkolnej i członków towarzystwa. Korzystaliśmy też z pomocy parafii oraz Urzędu Miasta.

Spisaliśmy umowę z ówczesnym proboszczem parafii ks. dziekanem Marianem Sobczykiem na udostępnianie wieży, po to, byśmy mogli wykonywać w niej różne prace, aby nasz pobyt był tam legalny, byśmy ponosili odpowiedzialność za to, co dzieje się tam w sezonie turystycznym i byśmy mogli czuć się współgospodarzami wieży.

W okresie zwiedzania wieży czynny był punkt sprzedaży naszych wydawnictw przez bileterów. Sprzedawane tam widokówki, foldery, informatory stanowiły jedyną dostępną informację o Złotoryi w dni świąteczne. Kilkusetzłotowe sezonowe wpływy z biletów przekazywaliśmy w formie drobnych remontów wewnątrz wieży, na taką skalę, na jaką pozwalały fundusze stowarzyszenia. W okresie wielu lat sprawowania naszej funkcji wieża w naturalny sposób zrastała się z historią naszego miasta – pojawiały się historyczne złotoryjskie nazwy: sala Trozendorfa, krypta Helmrichów – wszystko dokonano ofiarną pracą społeczną naszych członków i sympatyków.

Ksiądz Stanisław Śmigielski przystępując do remontu wieży, polecił nam ją opuścić, informując jednocześnie, że po zakończeniu remontu współpraca TMZZ oraz parafii pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny będzie kontynuowana.

W pośpiechu wynosiliśmy meble i inne akcesoria historyczne zgromadzone i wykonane specjalnie do pomieszczeń na wieży.

Przez te lata „zżyliśmy się" z naszą wieżą i jak wszyscy złotoryjanie, a dodatkowo członkowie kościoła katolickiego, czujemy się jej współgospodarzami. Pozostawiliśmy tu ślady naszej pracy. Wszyscy razem możemy być dumni. Nadal gotowi jesteśmy zrobić dla niej wszystko, co będzie potrzebne i leży w zakresie naszych możliwości.

Nadal życzliwie będziemy obserwować zainteresowanie wieżą przez fachowców spoza Złotoryi, a także z miasta.

Mamy nadzieję, że po zakończeniu prac remontowych, etapy tego wielkiego remontu złotoryjskiej świątyni zostaną uwiecznione w sposób trwały, na przykład na kamiennej płycie. Przy wejściu na wieżę mogłaby powstać niewielka wzmianka, że udostępnienie i zwiedzanie wieży w latach 1992 – 2007 było możliwe dzięki złotoryjskim wolontariuszom pod opieką Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Początki są najtrudniejsze. Później sprawy idą dużo łatwiej, wydeptaną ścieżką.

Ufamy, że będziemy deptać po niej wspólnie.

Zainteresowanym sprawą najwyższej wieży w Złotoryi polecamy dwie publikacje.

1. Artykuł Romana Gorzkowskiego pt. ***„Z wysokości wieży i głębokości studni"*** w numerze 4 (17) **Echa Złotoryi** z kwietnia 2007 roku jako część cyklu obejmującego dorobek 20 – lecia Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Opowiada o współpracy władz miejskich (naczelnik B. Cetera), złotoryjskich zakładów pracy (PGKiM, TP S.A., PGR, Geobud, ZZO, „Lena", BS, BZ S.A.) i kilkudziesięciu wolontariuszy z TMZZ. Dokonano oczyszczenia, uporządkowania, historycznego wyposażenia wieży i udostępniono ją do zwiedzania. Działo się to za zgodą i wsparciem ówczesnego proboszcza, księdza dziekana Mariana Sobczyka. Od 1991 roku wieża widokowa stała się największą atrakcją Złotoryi. Obsługę stanowili bezrobotni finansowani przez PUP, później także Urząd Miasta, a poza sezonem i na każde wezwanie, jak zwykle bezpłatnie - działacze TMMZ. Koledzy oprowadzali wycieczki krajowe i zagraniczne, które miały w programie wizytę w wieży.

2. Artykuł ***„Wieża pod okiem kamery"*** w numerze 4(566) **Gazety Złotoryjskiej** z dnia 28.01.2009 r. sygnowany (as). Autor opisuje kolejny etap kompleksowej modernizacji całego kościoła mariackiego, jakim jest remont kościelnej wieży, który został przeprowadzony z inicjatywy i dzięki umiejętności pozyskania środków finansowych (141 tys. zł) oraz talentowi organizatorskiemu obecnego proboszcza parafii pod wezwaniem NNMP, księdza Stanisława Śmigielskiego. Bliski jest dzień wznowienia turystycznej funkcji kościelnej wieży.

W imieniu Zarządu
Prezes TMZZ
Aleksander Borys

Warto przeczytać

Organizacje pozarządowe wystąp!

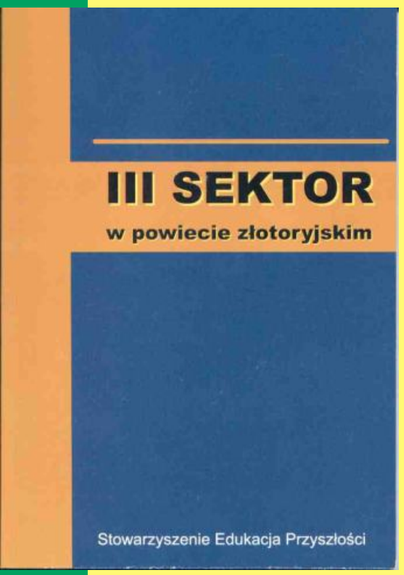

Liderzy Stowarzyszenia *Edukacja Przyszłości*, Kamila Nankiewicz, Paweł Macuga, Beata Siudak i Agnieszka Siudak są autorami publikacji, która z pewnością przyda się nie tylko stu pięćdziesięciu siedmiu (!!) organizacjom społecznym oraz fundacjom, zarejestrowanym w powiecie złotoryjskim. Książka zawiera oczywiście nie tylko ich spis. Śledzi ich formy działania, formy prawne, finanse, trudności i sukcesy, obraz w lokalnych mediach, przedstawia liderów. Pomaga opracować wnioski o dotacje, stać się Organizacją Pożytku Publicznego, kształtować wizerunek swojej organizacji. Publikacja jest pokłosiem projektu „Aktywizacja organizacji pozarządowych powiatu złotoryjskiego", realizowanego przez *Edukację Przyszłości* od kwietnia 2008 do marca 2009 r. Zapraszamy na stronę wydawcy: www.edukacja-zlotoryja.pl.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Memento mori

Choć dzisiaj panuje kult życia (a nawet wyżycia się!), to czasami pewne miejsca przypominają nam, że warto od czasu do czasu spojrzeć na dzień dzisiejszy z perspektywy śmierci. Taką rolę odgrywała kamienna rzeźba, uwieczniona na fotografii, wykonanej prawdopodobnie dwadzieścia lat temu. Gdzie się znajdowała, co przedstawiała z wszystkich stron, co się z nią stało? Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej przy TMZZ byłby bardzo wdzięczny, gdyby jego zbiory wzbogaciły się o „kompletne" zdjęcia tego obiektu.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Aleja Miła ciągle miła!

Prezentowana widokówka dotarła w listopadzie 1915 r. w okolice Hannoweru. Wysłał ją jeden z żołnierzy służący wówczas w złotoryjskim garnizonie, przesyłając pozdrowienia swojemu nauczycielowi. Choć dzisiaj już nie nazywamy promenadami ani Alei Miłej ani ul. S. Staszica, zdominowanych niestety przez samochody nie przez pieszych, to nadal pozostały tutaj urocze zakątki, gdzie można bezpiecznie usiąść i odpocząć. Po 1945 r. Aleja Miła nie budzi zainteresowania wydawców widokówek. Można było to zrozumieć, gdy jej patronem był Lenin, ale teraz koniecznie trzeba nadrobić ten brak! A może czytelnicy wiedzą, kto w 1989 r. zaproponował obecną nazwę alei?

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złączных hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

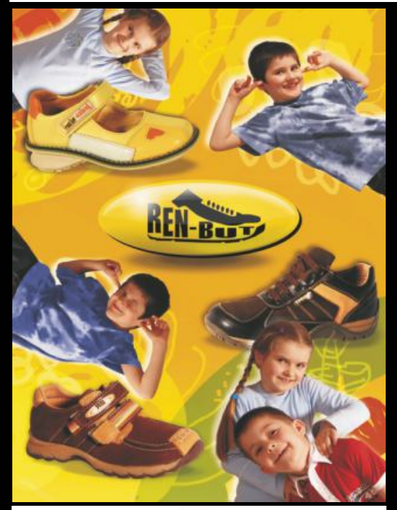

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023